

**RODZIĆ SIĘ  
DLA ŚWIATA WYŻSZEGO**

Biblioteka: *Trzymać dłoń Chrystusa*

ks. Aleksander Zienkiewicz

**RODZIĆ SIĘ  
DLA ŚWIATA WYŻSZEGO**

---

**REKOLEKCJE WIELKOPOSTNE**

Kraków 2001

©2001 by WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW „Bratni Zew” spółka z o.o.

ISBN 83-86991-35-6

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

*Zamówienia na książki można składać w wydawnictwie:*

ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków

tel. (012) 428 32 40, tel./fax (012) 428 32 41

www.ofmconv.pl

E-mail: evangelization@ofmconv.pl

*Przygotowanie do druku:* Jadwiga Wartalska

*Korekta:* Maria Chomik, Jadwiga Wartalska

Imprimi potest:

Kuria Prowincjalna OO. Franciszkanów

L.dz. 621/99, Kraków dnia 25. 10. 1999 r.

---

*Montaż elektroniczny:*

WYDAWNICTWO OO. FRANCISZKANÓW

„Bratni Zew” spółka z o.o.

ul. Grodzka 54, 31-044 Kraków

tel. (012) 428 32 40, fax (012) 428 32 41

www.ofmconv.pl; E-mail: evangelization@ofmconv.pl

---

*Druk:* „Pracownia AA”, Pl. Na Groblach 5, 31-101 Kraków

## Spis treści

Wstęp .....	7
<b>I. BÓG</b>	
Wprowadzenie .....	9
Bóg .....	13
<b>II. CHRYSYTUS</b>	
Wprowadzenie .....	27
Chrystus .....	32
<b>III. SUMIENIE</b>	
Wprowadzenie .....	47
Sumienie .....	50
<b>IV. MIŁOŚĆ</b>	
Wprowadzenie .....	67
Miłość .....	69
<b>V. SAKRAMENT POKUTY</b>	
Wprowadzenie .....	79
Sakrament Pokuty .....	82
<b>VI. WIERNOŚĆ I KRZYŻ</b>	
Wprowadzenie .....	97
Wierność i krzyż .....	100
<b>VII. PODSUMOWANIE</b> .....	109
Nota o autorze .....	125



## WSTĘP

„*Trzymać dłoń Chrystusa*” to wspólny tytuł nadany całej spuściźnie literackiej, jaką zostawił po sobie Ksiądz prałat Aleksander Zienkiewicz (1910-1995), duszpasterz akademicki (1953-1995), popularny wśród wielu pokoleń wrocławskich studentów *Wujek*.

Na swoistego rodzaju cykl składać się będą rekolacje, kazania, homilie i konferencje wygłaszane przez Autora we wrocławskich kościołach, głównie w katedrze św. Jana Chrzciciela i w kościele akademickim św. Piotra i Pawła. Większość z nich była nagrywana na taśmach magnetofonowych, a następnie odtwarzana i spisana. Ubogacające treści, pogłębiające naszą wiarę, wypowiedane piękną polszczyzną, uzasadniają zachowanie stylu języka mówionego, z charakterystycznymi powtórzeniami.

„*Trzymać dłoń Chrystusa*” to przesłanie, jakie w testamencie, odczytanym nad grobem Księdza Zienkiewicza, usłyszeli zgromadzeni: „*Zawierzcie i zaufajcie Zbawicielowi! Trzymajcie Jego zbawczą*

*dłoń w swojej dłoni, nie wypuszczajcie jej nigdy! Wszyscy z Nim i w Nim! Zawierzcie Jezusowi, który przyjął z miłości ku nam okrutną mękę za nasze grzechy i otworzył nam bramy zbawienia – nieskończonego szczęścia”.*

**„Trzymać dłoń Chrystusa”** – ale jak jej nie wypuścić? Jak pozostać Mu wiernym? Jak iść za Nim, by dojść do *bramy zbawienia – nieskończonego szczęścia*? Spróbujmy znaleźć odpowiedzi na te i podobne pytania, śledząc kolejne części tego ubogającego wewnątrz cyklu.

Pierwsza z nich, zatytułowana **„Rodzić się dla świata wyższego”**, zawiera teksty rekolekcji jubileuszowych, które zostały wygłoszone przez Ks. Aleksandra Zienkiewicza we wrocławskiej katedrze, w okresie Wielkiego Postu w roku 1979, z okazji 25-lecia istnienia Centralnego Duszpasterstwa Akademickiego we Wrocławiu.

Na poszczególne rozdziały składają się homilie, wygłoszone przez Ks. Zienkiewicza podczas Mszy św., poprzedzających każdą naukę rekolekcyjną (*Wprowadzenie*) i zasadnicze nauki, z zachowaniem kolejności tematów poszczególnych spotkań (*Bóg, Chrystus, Sumienie, Miłość, Wierność i krzyż, Sakrament Pokuty i Podsumowanie*).

Tylko pierwsze trzy rozdziały zostały poprawione przez Autora za Jego życia, pozostałe zaś są wiernym odtworzeniem zachowanego materiału.

*Jadwiga Wartalska*



# I. BÓG

## WPROWADZENIE

Zaczynamy jubileuszową serię rekolekcji akademickich w naszej świątyni. Odczuwam ludzki niepokój stojąc tu, przed Wami, mając w świadomości wielką odpowiedzialność za to, co powiem i jak spełnię swoją rolę prorocką. Ale wierzę, że Ty, Panie, oświecisz mnie i wesprzesz, że Ty ześlesz Ducha Świętego, abym nie przysłonił Twego światła, Twojej prawdy, Twojej miłości – abym ją umiał ukazać tym, którzy tutaj przyjdą.

I liczę na to, że wszyscy włączycie się jak najgłębiej w tę Mszę św., ażeby te dary, te łaski prowadzącemu rekolekcje wyprosić, a także sobie i tym braciom młodym, którzy może na zaproszenie Pana zasłonili uszy albo którzy nie zdecydowali się na nie powiedzieć – tak.

Dla ziarna nie jest czymś groźnym, jeżeli padnie na ziemię urodzajną i jeżeli tam zacznie się przemieniać, rodząc bogatsze życie, przynosząc bogatsze

owoce. Tak samo nie jest szkodliwe, a nawet pożyteczne, podcinanie gałązek, dzikich pędów w naszych sadach i ogrodach, albowiem wtedy można wyzwolić w tych pniach, w tych drzewach, bogatsze życie: drzewa te mogą przynieść obfitsze plony. To jest właśnie nauka Jezusa skierowana dziś do nas.

Coś podobnego dzieje się z człowiekiem, który zechce umierać dla rzeczy małych, aby osiągnąć większe, aby osiągnąć pełniejsze życie – *kto umiera dla tego świata, ten rodzi się dla świata wyższego.*

Otóż coś z tego niosą rekolekcje. Nazwa może nie najlepsza, nie budzi dźwięcznych rezonansów, ale można i inaczej nazywać rekolekcje. Można nazywać je właśnie w nawiązaniu do tego wstępu, wiosennymi porządkami w naszym ogródku, na naszym poletku. Można też rekolekcje nazwać i generalnym przeglądem, można by powiedzieć – badaniem naszego organizmu duchowego. Rekolekcje można także nazwać rozszerzonym rachunkiem sumienia albo wielką rewizją życia, a można też jeszcze bardziej nowocześnie nazwać je dezintegracją pozytywną, korzystając z języka prof. Dąbrowskiego i nie tylko z języka, ale też i treści jego teorii.

Dezintegracja pozytywna. Dezintegracja to właśnie rozkładanie, to właśnie kruszenie, to uśmiercanie czegoś, ażeby wejść, czy wprowadzić kogoś na wyższy poziom życia, ku pełniejszemu życiu.

Dla niektórych rekolekcje mogą być także reanimacją, a więc powrotem ze stanu śmierci duchowej do życia, do pełniejszego życia.

Te nazwy zawierają w sobie dużo prawdy o rekolekcjach, chociaż żadna z nich, poza tą ostatnią chyba, nie wypowiada całej prawdy.

Rekolekcje są czymś głębszym, czymś niewymiernym w swoich owocach i w swoich skutkach, jeżeli dobrze je przeżyjemy i dobrze je przeprowadzimy. Tylko warunek przeprowadzenia i przeżycia, a ściślej warunki: przede wszystkim, moi drodzy, dobra wola, wyrażająca się chęcią – chcę przeżyć te rekolekcje. Chcę osiągnąć te owoce, które one obiecują. Takie chcenie – to dobra wola.

Drugim warunkiem jest skupienie się w sobie, wejście z peryferii do własnego domu, do centrum naszego ja, a więc oddalenie się od hałasu, od spraw zewnętrznych, od kłopotów i wejście w sferę spraw istotnych, wiecznych...

Gdy skupiamy się w sobie, my chrześcijanie, skupiamy się również przy naszym Bogu, bo tam właśnie w domu naszym, w głębinach naszego ja On mieszka i tam możemy się z Nim spotkać i z Nim podjąć dialog, napromieniować się światłem, a dialog z Bogiem – to modlitwa. I właśnie modlitwa należy do istotnych warunków dobrych rekolekcji.

Dalszy warunek, to szczerłość spojrzenia w siebie, maksymalna szczerłość. Chcę dojrzeć prawdę, chociażby ta prawda o mnie była nieprzyjemna, chociażby byłaby nawet gorzka. Chcę spojrzeć na siebie kry-

tycznie, samokrytycznie w świetle Ducha Świętego, w świetle Boga, w świetle Ewangelii. Z tym warunkiem łączy się kwestionowanie siebie, swoich postaw, swoich wartości, swojego stosunku do Boga, do ludzi. Wszystko pod znakiem zapytania: nie twierdzić, że na tym obszarze jest dobrze; tu jest dobrze, jest wszystko w porządku – nie bądźmy tego pewni. Trzeba wszystko zakwestionować, bo może właśnie w tej dziedzinie jest wielki nieporządek.

Oto są najbardziej istotne warunki obiecujących rekolekcji wielkopostnych. Rola prowadzącego? Już ją ukazałem pełen niepokoju. Zdecydowałem się jednak na prowadzenie tych, chyba ostatnich – jak mam przeczucie – rekolekcji tego typu, licząc na szczególną pomoc Boga i waszą szczególnie dobrą wolę.

Będą to więc rekolekcje podsumowujące 25-lecie mojej pracy z młodzieżą akademicką i istnienia Centralnego Ośrodka DA, a zatem jubileuszowe. Chciałbym ze swoich obserwacji, ze swego doświadczenia, ze swojej wiary i miłości, chociaż z tej małej miłości ku Bogu i do Was, coś Wam przekazać i ukazać przed ostatecznym odejściem.

Nawracania nie będzie. Jeśli ktoś znajduje się tu, w naszej świątyni, z zachwianą wiarą, ze zbyt wielkimi wątpliwościami, nie będziemy nawracali go, nie, będziemy się tylko modlili za niego. A ty sam, bracie, czy siostró, zadaj sobie trochę trudu, otwórz umysł i serce. Zadaj sobie pytanie o wiarę i staraj się sam na nie odpowiedzieć. Sam musisz

znaleźć prawdę, musisz znaleźć dobro, musisz znaleźć Boga. Nikt ci tego nie narzuci. Nikt. I tego nikt czynić nie będzie, zwłaszcza na rekolekcjach.

Będziemy się starali, to rola prowadzącego, ukazywać różne obszary i strony życia do przeglądu, do kwestionowania i ukazywać właściwe postawy i drogi postępowania. Rolą prowadzącego jest także zadawanie pytań, stawianie problemów, a w gruncie rzeczy wszyscy sami powinni na te pytania odpowiadać i te problemy rozwiązywać, oczywiście z Panem Bogiem.

Ważniejsza jest rola Wasza, uczestników rekolekcji, ta rola jest ważniejsza niż rola prowadzącego. O ile otworzycie swoje serca, o ile szczerze podejście do tego oglądu i tego przeglądu, jeżeli podejmiecie tę dezintegrację pozytywną, dokonacie wielkiego dzieła. I za Was tego dzieła nikt nie może wypełnić.

Jeden tylko jeszcze apel w tym miejscu. Systematyczność!

Musieliście zauważyć Ci, którzy ze mną współpracują, że nie lubię wielotematyczności w jednym spotkaniu. Tak ukształtowała się moja mentalność, moja psychika, że wierzę w wyższą wartość jednotematycznych konferencji, wszechstronnych, ale jednotematycznych. Jeśli tak, to wtedy nie powracamy już do tematu w tej wersji na drugi, czy na trzeci dzień. Już ten temat został za nami.

Myślę sobie: Boże mój, dzisiaj będzie mowa o wielkości, o przeżywaniu Pana Boga. Jeśli kogoś

z wątpiących dzisiaj nie będzie, to przyjdzie już na inną problematykę, a ta może już na zawsze wypadnie z jego życiorysu i może być to ogromna szkoda – może raz, tylko raz. Oczywiście, że mogą być nie zawinione przerwy, ale starajmy się o systematyczność i wierność tym dniom, tym godzinom naszych spotkań.

Rzecz jasna, najważniejsza rola w rekolekcjach, to rola Pana Boga. Rola Pana Boga uwarunkowana przez nasze zawierzenie Jemu, jawiaćemu się w naszej duszy, w naszym sumieniu i w Ewangelii i w Kościele. Uwarunkowana, ale najważniejsza. I dlatego, przyjaciele, kończąc tę homilię, wzniesiemy modlitwy do Pana, aby przede wszystkim duszpasterz sprostął swemu zadaniu, bardzo odpowiedzialnemu i aby uczestnicy otworzyli szeroko swoje umysły, wolę i serca na Jego słowo.

## **BÓG**

O Panu Bogu nie może mówić w sposób adekwatny. Cokolwiek mówimy o Nim, choćby najbardziej precyzyjnym, filozoficznym językiem, to są wszystko analogie tylko, to nie jest tak, jak my mówimy. Osoba Boska nie jest taka, jak nasza osoba, miłość Pana Boga nie jest taka, jak nasza miłość. Egzystencja Pana Boga nie jest taka, jak nasza egzystencja, istnieją tylko analogie. Tylko analogicznym językiem się posługujemy. Niektórzy nawet posuwali się dalej i mówili: totaliter aliter,

że w ogóle nasze słowa nic nie mówią o Bogu. Za daleko poszli. Jednak istnieje jakaś analogia: jeżeli Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje, możemy odnaleźć coś w sobie, w świecie, co jest analogiczne do swego Stworzyciela, tego Artysty – a więc analogie trzeba przyjąć.

Jeden z teologów anglikańskich kiedyś wywołał wielką burzę książką „O uczciwości wobec Boga” i tam właśnie radził, żeby zastąpić słowo Bóg – wyrazem „Głębia”, bo na ogół, gdy wymawiamy słowo Bóg, to kojarzy się z niebem błękitnym nad gwiazdami, gdzieś w kosmosie.

Tymczasem teologowie tego pokroju uważają, że należałoby bardziej podkreślić immanencję Boga, że Bóg jest wszędzie i właśnie w głębinach twojej duszy. I bardziej jest w twoim ja anizeli ponad gwiazdami.

Pytamy dalej siebie i naszych braci, na jakich podstawach my wierzymy w istnienie takiego właśnie Pana Boga. Takiego niepojętego, taką tajemnicę, ale tajemnicę osobową.

Oczywiście nie będziemy rozważali tych wszystkich postaw. Powiecie: „dowody!” Chcecie dowodów? Dowodów matematyczno – fizycznych nie ma i być nie może. Cóż to byłby za Bóg, który by się dał zmieścić w jakiejś formule matematycznej? Cóż to byłby za Bóg, który dałby się dowieść jak suma kątów w trójkącie? Cóż to byłby za Bóg, gdyby dał się dowieść na płaszczyźnie jakiejś wyższej matematyki? To co wtedy z naszymi braćmi „prostacz-

kami”? Wtedy ludzie wyższej matematyki byłiby uprzywilejowani. Oni by wiedzieli, że Bóg istnieje, a my, prostaczkowie bylibyśmy w gorszej sytuacji – w sytuacji trudnej wiary.

Nie ma więc dowodów, nie było i nie będzie dowodów typu matematyczno-fizycznego. Ale istnieją drogi do Boga. Św. Tomasz z Akwinu opracował i ukazał pięć dróg. A jest ich więcej. A może dla nas wystarczą trzy, dwie, jedna? Jakież to drogi do Pana Boga? Jedną już nadmieniliśmy: instynkt religijny – teotropizm. Człowieka coś pociąga tam w głębinę tej Tajemnicy. Odnajdujemy ślady Pana Boga w przyrodzie, która jest Jego dziełem. Tak jak znajdujemy ślady artysty i jego osobowości w jego obrazach, rzeźbach, w jego strukturach. On się ujawnia także, właśnie ten Bóg Samoistny i Nieskończony, Osobowy, także i w historii. Tam znajdujemy najpierw wielkich rzeczników, proroków Boga – Jahwe, a na końcu, gdy wypełniły się czasy, spotykamy nieporównywalną, jedyną osobowość, której na imię Jezus, który odsłania nam w dużej mierze – nigdy w pełni, oblicze Tego, tak pojmowanego Pana Boga. I tam znajdujemy Pismo św., Słowo od Pana Boga skierowane do człowieka. Dodajmy jeszcze, że Pan Bóg sam wspiera nas i pociąga nas, jak magnes swoją łaską, ułatwia nam spotkanie się z Sobą.

Oto są drogi, na których możemy dojść do Pana Boga i z nim się spotkać i ujrzeć, chociaż w zarysie, oczywiście nigdy w pełni, Jego oblicze. Nie będziemy mówili, rzecz jasna o tych drogach w szczegółach.



Zwróćmy jednak uwagę na ślady Pana Boga w przyrodzie, bo to najbardziej dostępny sposób spotkania się z Panem Bogiem.

Czytałem w którejś z książek francuskich o takim wydarzeniu na skraju Sahary – jeszcze w obrębie Maroka. Francuz, turysta, był gościem bogatego i mądrego Szejka. Prowadzili rozmowę. W pewnym momencie Francuz zaprzeczył istnieniu Boga. Nie ma takiego Allacha, któremu oddawał cześć Szejka-Beduin. Na to Beduin nic nie odpowiedział. Rano, gdy się zbudzili i wyszli z namiotów, Francuz podchodzi do gospodarza i mówi: wiesz, tędy przeszło stado wielbłądów dzisiaj w nocy. – Gdzie, pyta gospodarz? A oto, tutaj – proszę. – Po czym poznajesz? – Bo ślady pozostały. Wtedy Beduin mówi: ja nie wierzę w to. Francuz na to: Przecież ślady są bardzo wyraziste. Gospodarz wyjaśnia: jeżeli ty nie widzisz śladów Boga w przyrodzie, to ja analogicznie nie chcę widzieć śladów i obecności tych wielbłądów na Saharze.

Dosyć prościutka historia, proste spotkanie i prosta rozmowa, ale chyba dostatecznie wymowna.

Tak, ślady mówią, jednoznacznie mówią, prowadzą do Boga.

Właśnie w ostatnich latach przeczytałem w magazynie „Poznaj świat” opis pewnej ekspedycji do miejscowości Tasilli. Sahara, kraj Tuaregów, tam gdzie mieszkał i działał do swojej śmierci wielki Karol de Foucauld. Cóż tam odkryto ciekawego? Otóż odkryto pieczary, w których znaleziono bardzo

interesujące i bardzo artystycznie wykonane rysunki zwierząt, a nawet i ludzi, malowane obrazy w głębi Sahary. Dzisiaj nikt tam nie mieszka, a jednak jak odczytano te odkrycia? Tam był człowiek. Dlaczego tam był człowiek? Bo nikt inny nie mógłby przecież zostawić takich arcydzieł poza człowiekiem. Tam był człowiek. Nie widać go, ale tam był człowiek. Prawidłowe rozumowanie.

Oto droga bardzo wielu, może nawet większości ludzi, do Boga. Tylko oczywiście trzeba mieć dobre oczy, żeby ślady Pana Boga w przyrodzie ujrzeć. I gdy o tym mówię, wciąż powraca mi na myśl, chociaż to szereg razy moim przyjaciółom opowiadałem, robotnik, prosty człowiek, poeta i uczony. W 1938 roku nocowałem u górnika, robotnika w Katowicach. W niedzielę wyszliśmy na wzgórze do ogródka działkowego. I robotnik, pod koniec maja – już rozkwitały piękne piwonie, usiadł na ławeczce i mówi: Proszę księdza, ksiądz się pewnie będzie ze mnie śmiał, ale gdy jestem tu sam, wtedy patrzę na te piwonie, klękam i w nich widzę Pana Boga i modłę się do Pana Boga. Powiedziałem mu: Proszę pana, pan ma dobre oczy, ja się z pana nie śmieję, pan ma dobre oczy.

Drugi typ – poeta, nie prostaczek – był przecież rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, domyślcie się – Jan Kasproicz. „Wadził się z Bogiem”, gdy czytał tylko książki, gdy obracał się w strefie własnej tylko wyobraźni, ale gdy wyszedł na strome ścieżki naszych wspaniałych Tatr, gdy

patrzył na zachody słońca, gdy posłuchał szmeru strumienia, a przede wszystkim, gdy się przyjrzał własnymi oczyma tym kwiatom i tym kosodrzewinom, i tym lichym drzewinom, tam został olśniony, odkrył Boga i zapisał, w tej książeczce uroczej „Księga Ubogich”, te słowa: Nie trzeba dębów tysięcy, ta jedna licha drzewina z szeptem się ku mnie przegina i mówi: Jest Bóg! I czegoż ci więcej? Nie trzeba tysięcy argumentów, nie trzeba tysięcy książek, nie trzeba tysięcy dyskusji, tylko się przyjrzeć oto jednej lichej drzewinie, tej nawet jednej komórce i odkrywasz tam Boga i czegoż ci więcej?

I uczony, to chyba największy uczony naszych czasów (prof. Infeld w swoim pośmiertnym wspomnieniu napisał: a może to w ogóle największy uczony wszystkich czasów?) – domyślcie się: Albert Einstein. W 1950 roku, na zjeździe w Berlinie, m. in. powiedział takie słowa: Najpiękniejsze, co możemy przeżyć, to całkowita pełnia tajemnicy, to jest podstawowe uczucie, które stoi u kolebki prawdziwej sztuki i prawdziwej nauki, kto tego nie zna i nie potrafi podziwiać i dziwić się, ten właściwie już jest martwy i ma oczy wypalone.

Świadomość nieograniczonego przez nas Bytu, najgłębszego Rozumu, najwspanialszego Piękna, dostępnego nam tylko w sposób zamglony – oto dźwięk analogii. Wiedza o tym i uczucie tego znaczą religijność.

Oto trzech ludzie, przedstawiciele „prostaczków”, poetów i nauki. Co ich łączy?

Dobre oczy. Wszyscy oni mają dobre oczy. Co to znaczy dobre oczy? Znaczą mają dobrą wolę, chcą poznać prawdę. Co jeszcze ich łączy? To jest jeszcze gotowość przyjęcia tajemnicy, a więc pokora, skromność, szczerłość, prawda. Oto, co łączyło i łączy tych ludzi. Dawniej łączyło, dziś łączy i łączyć będzie.

I oto tutaj znajdujemy się przy kluczowym pytaniu o wiarę i niewiarę, bo istnieje niewiara w Boga prawdziwego. Tu jest klucz. Dlaczego kosmonauci zareagowali tak różnie na ten swój wypadek w przestrzeń – nie mówimy kosmiczną – powiedzmy: w przestrzeń naszego podwórka solarne. Radziecki kosmonauta powiedział, że żadnego Boga tam nie widział. Kosmonauta amerykański powiedział: Widziałem Boga, ujrzałem Boga.

Patrzcie i patrzcie, oczy i oczy. Są ludzie, którzy patrzą na dzieła i arcydzieła sztuki, na obrazy, na architekturę i rzeźby, którzy słuchają muzyki i właściwie nie poza dźwiękami i kolorami nie widzą. Czasem gotowi są podziwiać, ale głębiej nie sięgają. Już nie sięgają osób, autorów, sprawców tego, a przecież za każdym dziełem, za każdą strukturą kryje się sprawca, autor, inżynier, konstruktor. Tylko trzeba mieć oczy, trzeba przenikać płótno tego obrazu, ten marmur, ten instrument. Nie widzą ciebie moje oczy, nie słyszą ciebie moje uszy, a jesteś światłem mej pomroczy, a jesteś śpiewem w mojej duszy. (L. Staff)

Znów ktoś powie: Ale trudno przyjąć tajemnicę. Wtedy jeszcze raz rozważ słowa Einsteina: Przyjąć tajemnicę!

Jeden z radzieckich znakomitych poetów, Jew-tuszenko, kiedyś, w przystępie jakiejś szczeroci, wewnętrznej szarpaniny, zawołał: Dajcie mi choć jedną tajemnicę, bo w tej przestrzeni przejrzystej duszę się. Przejrzysta szklanka, przejrzyste szkło i co dalej? Uduśzę się w takim świecie przejrzystym, Dajcie mi choć jedną tajemnicę. Zdrowy, bogaty człowiek szuka tajemnicy. Tajemnica go nie odpycha, lecz pociąga. On tej tajemnicy żąda.

Wróćmy jeszcze do uwagi Kasprowicza: Jest Bóg i czegoż ci więcej? Podkreślmy to: czegoż ci więcej? Właśnie, człowieku, gdy odkryłeś w tym czterowymiarowym świecie, w tym bądź co bądź, zamkniętym świecie, gdy odkryłeś Boga, który jest Osobą myślącą, czującą, kochającą ciebie – czegoż ci więcej? Podnieś głowę do góry, czegoż ci więcej? Odkryłeś w ten sposób największą prawdę, pierwotną prawdę, substancjalną prawdę, leżącą u podstaw wszystkiego. Odkryłeś wtedy najwyższe dobro, najwyższą doskonałość, najwyższą miłość. Odkryłeś wielką nadzieję dla siebie, odkryłeś sens; te mroki świata i przestrzeni są już dla ciebie przetkane promieniami sensu. Jest sens, człowieku! – i czegoż ci więcej? Odkryłeś metrykę swoją. Odkryłeś Ojca swego, który cię nie tylko stworzył, ale cię zrodził, a więc nie jesteś podrzutkiem w tym chłodnym

kosmosie, w tym przerażającym kosmosie w swojej wielkości. Masz Ojca, bracie – i czegoż ci więcej?

Jak mało przeżywamy tę radość odkrycia Boga, Jego wielkości, Jego miłości, Boga Ojca!

I my, chrześcijanie, i my jesteśmy skłonni pomniejszać Boga, nawet wtedy, gdy poprawnie recytujemy nasze Credo niedzielne, czy też codzienne. I to właśnie mnie, jako duszpasterza, w stosunku do samego siebie i do innych, w ostatnich czasach szczególnie niepokoi. Pomniejszamy Pana Boga, a pomniejszając Pana Boga, utwierdzamy w negacji naszego prawdziwego Pana Boga, także i naszych braci.

Nazwijmy ich znów ich własnym imieniem – ateistów. I wtedy ma rację A. Schaff, ma dużo racji, gdy pisze: Kiedyś odrzucaliśmy Pana Boga, potem mówiliśmy, że nie można udowodnić Jego istnienia; natomiast dzisiaj mówimy, że jeśli Bóg istnieje, to On jest znacznie większy niż ten, którego wy nam pokazywaliście. Tak jest, my także, my – duszpasterze i na lekcjach religii i na ambonach. Tak – jest On znacznie większy niż pokazywali Go najwięksi geniusze swym genialnym słowem, najwięksi kaznodzieje. On jest większy...

Boże mój, przecież my, chrześcijanie, kusimy się dowodzić Twojego istnienia! Niektórzy chcą „wyobrazić” Pana Boga i często „wyobrażają”...

Są tacy, którzy widzą Pana Boga jako malutką Bożię i wkładają ją w świadomość swoich dzieci. To już sfalszowane, pomniejszone pojęcie tego Pana

Boga – Bozia, co za Bozia? I my skłonni jesteśmy widzieć w Panu Bogu tylko pociechę, ostoję naszą. Jesteśmy skłonni widzieć w Nim referenta spraw przegranych: kiedy trwoga, to do Boga. Skłonni jesteśmy widzieć w Panu Bogu jakąś apteczkę, którą otwieramy wtedy, gdy w nas zaczyna coś krwawić, coś boleć. Gdy nam przestanie krwawić, zamykamy tę apteczkę: niech się pokrywa pajęczyną i kurzem. Skłonni jesteśmy widzieć w Panu Bogu także buchaltera, który liczy tylko nasze grzechy – a nawet żandarma, prokuratora, który tylko czyha na nas, żeby nas na czymś przyłapać, żeby nas ukarać i nas potępić.

Może najgorsze to – to taki grzech pierwородny w tym wszystkim, że my wszyscy jesteśmy skłonni posługiwać się Bogiem, zamiast służyć Bogu. Otóż nasza religia w źródle swoim, w swojej Ewangelii, w Dobrej Nowinie, podkreśla, że Pan Bóg jest tak wielki, tak nieskończony, mimo że jest Ojcem, mimo że nas kocha, iż należy Mu się podporządkować. Należy podporządkować naszą wolę Jego światłej, mądrej i wszechpotężnej woli, a więc mamy służyć Jemu, oczywiście jako wewnątrznie istoty wolne, jako Jego dzieci mamy Mu służyć. A my skłonni jesteśmy wciąż posługiwać się Bogiem, a to magia: religia, która uczyła posługiwać się bożyszczami i bożkami nazywała się i nazywa się magią.

Bądźmy aż przerażeni, ile magii wkrada się w nasze życie. Może niektórych gorszy to, co napisał w swoim czasie, będący już dzisiaj na emigracji

radziecki powieściopisarz, zresztą pisarz i poeta, Sieniawski, pisał on tak: Nie należy wierzyć nie ze względu na tradycję, nie z bojaźni śmierci, nie na wszelki wypadek, nie dlatego, że ktoś zmusza i straszy, nie ze względu na humanistyczne zasady religii, nie dlatego, że Bóg nam jest potrzebny, nie dlatego, że bez Boga nie ma moralności (jakże wielu wśród nas mówi: no, potrzebny jest nam Bóg po prostu żeby był gwarantem jakiejś moralności!), nie dlatego, żeby być oryginalnym, nawet nie po to, żeby zbawić swoją duszę; lecz wierzyć należy z tej prostej przyczyny, że Bóg istnieje. Oczywiście, że w konsekwencji, że w dalszym ciągu Bóg jest ostoją naszego rozchwiania, naszego życia i że Bóg zbawia naszą duszę. Ale to wszystko to drugi rząd prawd i uzasadnień. Pierwszy i podstawowy: Wierzę dlatego, że jest, że Bóg jest.

Proszę, jak tam na Wschodzie odżywa głębinowa religia, u ludzi świątłych, chociażby jak w Dubnej pod Moskwą. Słyszę, że tam specjaliści fizyki atomowej są nachyleni i otwarci na szukanie i dyskusowanie na temat prawdziwego Boga.

Otóż, jeżeli skłonni jesteśmy pomniejszać Pana Boga, to nic dziwnego, że znajduje się u nas na drugim, trzecim i czwartym planie. I wtedy sprawy religijne schodzą na trzecie i czwarte miejsce. I wtedy nic dziwnego, że nawet nasi bracia studenci „nie mają czasu” na to, żeby pogłębić swoją wiedzę religijną; pewnie, że wtedy nie mają czasu. Naturalnie – jeżeli na trzecim, czy czwartym miejscu



stanie Bóg i religia. I wtedy rzeczywiście dzieci ze szkół nie mają czasu na religię, bo oczywiście Młodzieżowe Domy Kultury, Wojewódzkie Domy Kultury i jeszcze jakiś zespół, i jeszcze angielski, jeszcze coś tam dojdzie i nie mają czasu... I wtedy nic dziwnego, że nasza modlitwa jest taka nędzna, że jakaś bozia i hokus – pokus, te znaki Krzyża św., chociażby takie przerażające czasami. Myślę sobie, że jak z taką religią spotka się ateista, ulegnie zgorzeniu. Powie: Nie chcę takiej religii, z takimi ludźmi nie chcę mieć nic do czynienia. Albo to przyklękanie, jeszcze certolenie się czasami, czy warto czy nie warto przed Panem Bogiem przyklęknąć, taki ważny ten człowiek się staje, że dyskutuje nawet, klęknąć czy nie uklęknąć. Jeżeli klęka, pożał się Boże, przecież często bez świadomości to robimy, to jest gest pusty najczęściej. Widać, że człowiek gdzie indziej się patrzy, już ogląda architekturę i tu karykaturalnie przyklęka przed Panem Bogiem.

Otóż to wszystko są to konsekwencje tego ciasnego pojmowania Pana Boga, tego pomniejszania Pana Boga.

I stąd ja do siebie i do was wołam: Odkrywajmy znów wielkość Pana Boga! Odkrywajmy, bo spłaszczymy się z tą bozią, spłaszczymy się z tą koślawą czasami liturgią, z tymi nędznymi paciorkami dawany jako jakąś daninę, jako jakiś uciążliwy podatek. Odkryjmy na nowo wielkość Pana Boga!

Czymże ja jestem przed Twym obliczem – prochem i niczem. (A. Mickiewicz)

Ach, przepraszam, jestem też Twoim dzieckiem, z Twojej łaski. Ty mnie nie tylko stworzyłeś, ale zrodziłeś i mnie kochasz. Przed tym mnie pokochałeś niż ja w ogóle o miłości słyszałem, niż w ogóle istniałem. Kochasz mnie; – jeżeli tak, to mogę się wtedy nawet spoufalić z Tobą i mogę nie uklęknąć nawet, ale zawsze z głębią tego szacunku, zawsze z tą świadomością kto On, a kto ja.

Boże mój, który jesteś w Niebie, ja także jestem, ale jestem z Ciebie – pisze Cyprian Norwid.

Czasem, gdy jesteśmy nawet w domu, gdy ponuro i ciemno na dworze, gdy gwiazdy są przesłonięte chmurami i wtedy, w wyobraźni swojej, wejdźmy na góry, wyjedźmy nad morze, wyjdźmy na ukwiecone łąki i otwórzmy swoje oczy! Wtedy wszystkie potęgi ziemi, góry, wichry, sztormy, pożary, wszystkie wyzwolone i nie wyzwolone energie nuklearne niech staną przed tobą. Niech staną przed tobą w wyobraźni wszystkie potęgi kosmosu, miliardy gwiazd i galaktyk ze swoim żarem i ze swoim śmierniczącym chłodem. Niech staną przed tobą wszystkie przestrzenie kosmiczne, wszystkie ciała niebieskie ze swoimi szybkościami i protuberancjami, ze swoją przerażającą otchłanią, w której nasza ziemia to mały pojazd kosmiczny, jak mówi Ditfurth. Niech to wszystko stanie przed tobą.

I wtedy, przyjacielu, zadrżysz. Ja zadrżałem nie raz pod rozgwieżdżonym niebem. Zadrżysz tak jak Błażej Pascal, tak jak Kirkegaard, tak może jak Albert Einstein, zadrżysz, ale wtedy czas, ażebyś

spojrzał w Oblicze Boga spowite w płaszcz tych wszystkich przywołanych przez ciebie i nie przywołanych potęg. Stwórcą i Zachowawcą tych wszystkich przerażających sił staje przed tobą. To On jest Alfą i Omega tych wszystkich rzeczywistości. Ale wtedy przypomnij sobie, że ta Potęga jest twoim Ojcem, że ciebie kocha, że wyciąga ku tobie swoje ramiona i wtedy przestaniesz drżeć i wtedy nawiążesz dialog jak dziecko z matką, czy z ojcem i wtedy przestanie dla ciebie być modlitwa podatkiem, czymś uciążliwym i wtedy zaczniesz rosnać, będziesz napromieniowany Jego potęgą, Jego światłem i Jego miłością.

Panie, o Panie nasz, jak przedziwne imię Twe po wszystkiej ziemi! Tyś swój majestat wyniósł nad niebiosą, z ust dzieci i niemowląt zgotowałeś chwałę na przekór Twym przeciwnikom, aby poskromić nieprzyjaciela i wroga. Gdy widzę Twe Niebo – dzieło palców Twoich i księżyc, i gwiazdy, któreś Ty utwierdził. Czymże jest człowiek, że o nim pamiętasz i czymże Syn człowieczy, że się nim zajmujesz. (Ps.8)

## II. CHRYSTUS

### WPROWADZENIE

Otwórzmy szeroko oczy, otwórzmy uszy, rozszerzmy nasze serca, ażeby chłonać, żeby pozwolić się napromieniować tymi nie dającymi się ani określić, ani nazwać nawet płomieniami, które buchają z tego Stosu Ofiarnego, który zapłonął na Kalwarii i powtarza się – chociaż pod ubogą szatą – tutaj w naszej świątyni. Ale nie tylko tutaj, nie tylko dzisiaj, lecz także i w inne dni i nie tylko z tej karty, ale i z innych kart Ewangelii, Jezus wzywa nas do modlitwy i chciałoby się powiedzieć, daje nam przykład modlitwy, mimo że Jego przykłady były inne niż nasze. Nie były przyklejone, przylepione sztucznie do Jego osobowości. Toteż można by i nie mówić o Jego przykładzie. Taki On był i wzywa nas wiele razy do modlitwy.

Czy nie można Jezusowi oszczędzić tego wzywania, tego zapraszania, tego nawet rozkazywania? Chyba tak. Właściwie człowieka, który ma pogłę-

bioną świadomość Boga, który potrafi przeżywać Pana Boga, a zwłaszcza, który potrafi kochać, nie trzeba ani wzywać, ani popędzać do modlitwy. Modlitwa będzie naturalną funkcją tego widzenia Boga, tego przeżycia Pana Boga, tej miłości Boga.

Jak wczoraj rozważaliśmy, jeżeli ktoś choć w małej mierze uświadomi sobie, kim jest On – Samoistny i Nieskończony, kim jest On, Który przyodziewa się w burze, w sztormy, w niebotyczne góry, Który odziewa się w szaty nazwanych i nie nazwanych energii nuklearnych i poza nuklearnych, Który odziewa się w szaty olbrzymich, przerażających przestrzeni kosmicznych z miliardami gwiazd i galaktyk, Który ubiera się w szatę tego chłodu, mrozu kosmicznego, ale też tego żaru i pożarów kosmosu. Jeżeli On nie tylko ubiera się w te szaty, lecz jest Stwórcą tych potęg i jest Władcą, i Panem tych wszystkich żywiołów, budzącym lęk Mocarzem – to przecież samorzutnie nam kolana się zginają i zaraz zechce się nam coś Mu powiedzieć: Panie! Panie! Boże! Przerazający swą wielkością Pan Zastępów! Ale gdy klęcząc i drżąc z lęku uświadomimy sobie, że On jest i Ojcem, że ta Wszechpotęga spowita w te moce otwiera nam ramiona i serce i chce nas przygarnąć i przytulić, że całuje i spoufala nas, wtedy przestajemy drzeć i wtedy znów spontanicznie, samorzutnie rodzi się w nas melodia uwielbienia, melodia radości, melodia miłości.

Tak, to są dominujące melodie modlitwy przy spotkaniu z Bogiem, a zaraz potem następuje

i modlitwa dziękczynienia, gdy uświadomimy sobie, co Jemu zawdzięczamy – i modlitwa przeproszenia, gdy uświadomimy sobie, jak jesteśmy mali, a zarazem nieposłuszni, złośliwi, a często podli. Wtedy płynie także modlitwa i prośby i błagania, gdy uświadomimy sobie naszą niewystarczalność, naszą niepełność – gdy uświadomimy sobie swoje braki i niedoskonałości. I wtedy te cztery, te pięć, te więcej melodii łączą się ze sobą tworzą chór modlitwy człowieka naprawdę wierzącego.

Toteż, jeżeli tak się ma sprawa i wynikają dla nas ważne wskazania praktyczne. Często przecież i my mówimy: Nie mogę się modlić, nie umiem się modlić.

Bracie, siostro! Uświadom sobie przed rozpoczęciem modlitwy, kim jest Bóg, przed Kim stajesz, czy przed Kim klękasz.

Kim jest On jako ta Wszechpotęga Samoistna i Wszechmiłość?

I otwórz się wtedy, otwórz się wewnątrz!

Obrazem tego otwierania się jest samorzutny gest, jaki wykonywali ludzie modlący się chyba wszędzie na ziemi i chrześcijanie w pierwszych wiekach, co pozostało we Mszy św., gdy kapłan podnosi rękę i mówi: w górę serca albo módlmy się... Podnosi rękę, to jest gest ilustrujący otwieranie się kwiatu, który chce wchłonąć promienie słońca: nie zamyka się, lecz otwiera.

Otwórz się więc, otwórz się, a wtedy gdy się otworzysz, gdy stworzysz przestrzeń dla swego Pana

Boga Wszechpotęgi i Wszechmiłości, wtedy będziesz się nasycił, będziesz się wzmacniał, będziesz się przebóstwiał i wtedy prawdą się stanie to, co Jezus mówi: Módlcie się, abyście nie upadli pod ciśnieniem pokusy, módlcie się. Wtedy będziemy się stawali silni, jak Słowacki po tej nocy spędzonej w kościele Grobu Pańskiego, po tej nocy mistycznej, po której napisał: Z pokorą padam na kolana, abym wstał silnym Boga robotnikiem. Mój głos będzie wtedy głosem Pana, mój głos ojczyzny całej krzykiem, mój duch aniołem, co wszystko przemoże – tak mi dopomóż, Chryste, Panie Boże.

Gdy już spotkaliśmy się z Nim, możemy wtedy mówić do Niego – Ojcze, tak jak we Mszy św. Modlitwę Pańską poprzedzamy słowami: Ośmielamy się mówić do Ciebie, Ojcze Nasz, któryś jest w Niebie. Tak naprawdę trzeba się ośmielić, a nie tak z miejsca, a nie tak z progu podejmować modlitwę, której nas nauczył sam Pan.

Można się modlić w różnoraki sposób i nie trzeba tu szukać nawet jakichś specjalnych metod. Powtarzam z doświadczenia, a przede wszystkim z odrobiny tej wiedzy, którą zaczerpnąłem z Ewangelii i od tych mistrzów życia wewnętrznego, którzy pisali o modlitwie: że jeżeli uświadomimy i przeżyjemy Pana Boga, jeżeli się otworzymy, jeżeli stworzymy dla Niego przestrzeń, samorzutnie popłynie pieśń modlitwy. Różna to będzie melodia, różne słowa, różne treści, ale w gruncie rzeczy każde takie wzniesienie myśli i serca do Pana będzie modlitwą.

Można się modlić jak nam podpowiada Roman Brandstaetter, czytając Pismo św., jeżeli również uświadomimy sobie co czytamy, czyje słowa, kto w tych słowach się wypowiada? Jeżeli uświadomimy sobie, że jest to w jakiejś mierze list Boga do człowieka ludzkim językiem napisany, każde słowo, każde zdanie odczytane z Pisma św. będzie modlitwą.

I nie musimy aż tak przeżywać modlitwy, tego Słowa Bożego, jak Wyspiański, o czym też pisze Roman Brandstaetter w uroczej książeczce „Krań biblijny”. Pisze, że Grzymała Siedlecki opowiedział mu, że kiedyś spotkał Wyspiańskiego siedzącego przed zamkniętymi drzwiami kawiarni. Zauważył, że artysta jest wyczerpany do ostateczności, że ma oczy niemal błędne, że jest jakby nieprzytomny. Zbliży się do niego i dowiaduje się, że przed paroma godzinami wstał od lektury Pisma św., że gdy zaczął czytać Pismo św., czytał je bez przerwy dwie noce i cały dzień, 36 godzin bez przerwy. Zapomniał nawet, że nic w ustach nie miał. I przeżył w sposób wstrząsający tę lekturę i to spotkanie z Bogiem. Podobnie jak Mojżesz na Górze Synaj przeżył spotkanie. Artysta miał otwartą i wrażliwą duszę i dlatego wchłonął po prostu blask i potęgę Słowa Bożego, które nim wstrząsnęło.

To była modlitwa! Nie była to słodka modlitwa jakiejś młodej dziewczyny, która unosi się w girlandach uczuć do nieba. To była modlitwa zmagania się, modlitwa walki, modlitwa wchłaniania Słowa



Bożego, a więc burza jakaś. Tak jest – i takie modlitwy przeżywali ludzie. I Jezus coś z takiej modlitwy przeżywał w Ogrodzie Oliwnym.

Ale nie każde nasze spotkanie z Bogiem musi być burzliwe. Może przebiegać i w klimacie wizyty Jezusa w Betanii i w niezliczonych nastrojach i oschłościach.

Chodzi o to, żebyśmy wiedzieli do kogo mówimy i kto do nas mówi, i kto oczekuje odpowiedzi, jak przy lekturze Pisma św. Jeżeli tak się z Bogiem spoufalamy, a mamy prawo do tego, bo On już nas do tego dopuszcza i zaprasza, wtedy ośmielamy się mówić nawet własnymi słowami, nawet prostymi, nawet taką „razową prozą”.

Gdy o tym mówię i o tym myślę, przypomina mi się znów ta modlitwa amerykańskiego żołnierza, której tekst znaleziono w skrwawionym mundurze po strasznym boju w Afryce Północnej. Żołnierz napisał: Dotychczas, Boże, nigdy do Ciebie nie mówiłem, lecz teraz chciałbym Ci powiedzieć – Jak się masz? Posłuchaj, Boże, mówiono mi, że Ty nie istniejesz i ja jak głupi uwierzyłem w to. Pewnego wieczoru, w głębi leja armatniego, ujrzałem Twoje niebo. Od razu spostrzegłem, że mnie oszukano. Gdybym miał czas spojrzeć na rzeczy, które Ty uczyniłeś, wiedziałbym, że ci ludzie wzbranieli się nazwać kota kotem. Pytam Cię, Boże, czy Ty byś się zgodził uścisnąć mi dłoń? A jednak czuję, że Ty mnie rozumiesz. Ciekawe, kto mnie sprowadził na to przeklęte miejsce, zanim miałem czas zobaczyć

Twoją twarz. Strasznie Cię kocham, oto, co chcę, abyś wiedział. Teraz idę w straszny bój. Kto wie, możliwe że przyjdę do Ciebie jeszcze tego wieczoru. Dziwne, oto ja płaczę, ja żołnierz ronię łzy. Ach, gdybym znał Cię wcześniej! Dość! Trzeba iść... Ciekawe, gdy Cię poznałem, nie mam już lęku przed śmiercią. Do widzenia!

Albo – po uświadomieniu Boga i otworzeniu się przed Nim – zanurzam się w milczeniu w Otchłani Milczącego...

## CHRYSTUS

Ponieważ jesteśmy w stanie permanentnej modlitwy, ponieważ mamy otwarte myśli i serca, bez wstępów.

Gdy przyszedł Jezus w okolice Cezarei Filipowej, zwrócił się do swych uczniów z zapytaniem: Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego? Otóż wśród pytań i problemów, jakie wnosimy w krąg naszej wielkiej rewizji życia, powiedzmy po staremu, w nasze rekolekcje, znajduje się to pytanie skierowane także do nas, dzisiaj.

Za kogo, ty chłopcze, ty dziewczyno, ty słuchaczu, masz Syna Człowieczego?

Żyjecie w szczęśliwszych czasach mimo różnych posiewów kąkoli. Jeszcze 15, a zwłaszcza 20 lat temu, w tym miejscu musiało się rozwijać problem istnienia Chrystusa. Dziś tego problemu już nie ma. W 1962 roku marksistowski historyk, Robertson,

napisał książkę „O pochodzeniu chrześcijaństwa” i tam wzywał marksistów, żeby zarzucili ten dawno przeszły XVIII lub XIX wieczny pogląd o mityczności osoby Chrystusa. I wydaje mi się, że posłuchano wreszcie tego Robertsona. (W Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej zmodyfikowano to hasło, a więc już dzisiaj nie ma problemu istnienia Chrystusa).

Ale pozostaje pytanie bardzo doniosłe dla ludzi wszystkich czasów. Kim był Chrystus? Kim jest Chrystus?

Gdy zadajemy sobie to pytanie, zwykle wskazujemy na te znaki, które nazywamy „cudami”, a których mnóstwo w Ewangelii. Zaraz cud: Patrz! – przemienił wodę w wino, patrz! – uzdrawiał trędowatych, patrz! – uzdrawiał ślepych od urodzenia, patrz! – wskrzesił Łazarza, a przedtem jeszcze młodzieńca z Naim! Czy to źle? Nie, ale winniśmy widzieć i te znaki i te „cudy”, ale jeżeli czytamy, chociażby niezbyt uważnie, Ewangelię, to zauważyć winniśmy, że Jezus nie przypisywał tak decydującego znaczenia cudów wierze.

Powtarzam to zdanie: nie przypisywał tak decydującego znaczenia cudom, gdy idzie o wiarę w Niego, o wiarę w Boga. Zauważmy coś osobliwego, że Jezus z oporami czynił te znaki, te „cuda”. Jezus nie lubił sensacji, chował się w cień, nawet nieraz mówił: Nie opowiadajcie o tym, co się stało. Jezus nawet w tej przypowieści o bogaczu i Łazarzu zakwestionował w ogóle wartość przekonywującą cudu. Może pamiętacie, gdy bogacz, pogrążony

w męczarniach, zwrócił się do Abrahama i powiedział: Ojcie Abrahamie, pozwól, ażeby ktoś poszedł na ziemię i opowiedział moim braciom, jak sprawa się przedstawia w zaświatach, ażeby oni nie trafili tutaj, do tej gehenny. A na to Abraham odparł: Mają Mojżesza i proroków, niech ich słuchają, bo nawet jeżeli by ktoś z martwych wstał, jeśli nie zechcą, nie uwierzą. Boże, jakie to prawdziwe!

Ilekoć czytam o tym, myślę, że gdyby ktoś np. wstał z martwych tutaj, na ulicy Szczytnickiej albo ktoś na jakimś cmentarzu, czy uwierzyliby wszyscy? Akurat byłoby tak, że ci uwierzyliby, którzy wierzą – tu obecni, może nieobecni. Ale wymyślono by 25 albo i 42 teorie, w których usiłowano by wyjaśnić ten fakt bez uciekania się do sił nadprzyrodzonych.

Tak więc Jezus był realistą. Jezus w ogóle nie dowodził istnienia Boga ani też nie dowodził swojego bóstwa. Jest też charakterystyczne, że unikał wszelkiego przymusu i szantażu. Jeżeli chcesz to uwierzysz, jeżeli nie chcesz, twoja sprawa i twoja odpowiedzialność. Za co odpowiedzialność? To Jezus bez retuszu ukazywał. Mówił: Kto z Boga jest, słów Bożych słucha, kto z prawdy jest, słów moich słucha. A więc, kto już jest nastawiony na prawdę, temu nie potrzeba cudów.

Tak więc znów wracamy do tego problemu, który wczoraj podkreśliliśmy, żeby wierzyć w Boga, nie tylko w Chrystusa, ale w Samoistnego Stworzyciela Nieba i Ziemi. Żeby uwierzyć nie trzeba dębów tysięcy, jak mówił Kasprowicz. Nie trzeba tysięcy

argumentów, nie trzeba nadzwyczajnych dociekań, czy jakichś dowodzeń.

I tak mówił wielki Einstein. Wystarczy spojrzeć własnymi oczami w przestrzeń kosmiczną, wystarczy zanurzyć się w tę tajemnicę kosmosu i już widzisz, już czujesz, już słyszysz Go. Czyli znów – otwarte oczy, otwarte uszy, inaczej: dobra wola, chcenie, szukanie prawdy i znów to, co Leopold Staff wyraził w zdaniu: Kto szuka Cię, już znalazł Ciebie, kto tęskni w Niebo Twe, jest w Niebie – i znów to samo u Jezusa. Jak wtedy odpowiedzieć na postawione pytanie: Kim Ty jesteś? Kto odpowie? Ty sam odpowiadasz Jemu – sam. Ale odpowiadasz przede wszystkim swoją postawą, swoim charakterem, swoją mocą, można by powiedzieć zdumiewającą osobowością, to takie uderzające.

Wystarczy mieć średnio dobre oczy, żeby dojrzeć. Oto, jeszcze w 1955 roku Leszek Kołakowski, w ateistycznym czasopiśmie, takie wydał świadectwo o Jezusie: Wcielił On bowiem w osobowości własnej zdolność wypowiedania pełnym głosem swojej prawdy, zdolność do tego, by bronić jej do końca i bez wykrętów, zdolność do oporu ostatecznego przeciw presji stabilnej rzeczywistości, która Go nie przyjmuje. Uczył w jaki sposób, nie uciekając się do gwałtu, można stawić czoło sobie i światu. Był wtedy wzorem owego autentyzmu radykalnego, w którym dopiero każdy osobnik ludzki może własnym wartościami prawdziwie nadawać życie. Takie świadectwo wydał będąc wtedy jeszcze dalekim od

chrześcijaństwa. (No, bo dziś, chyba wiecie, Leszek Kołakowski na Zachodzie deklaruje się już jako chrześcijanin).

Tak, Jezus to niezrównana Osobowość! Uderzającą cechą Osobowości Jezusa jest Jego absolutna wolność: nieskrępowana żadnymi względami wolność słowa, ocen, działania; ani tradycja, ani opinia publiczna, ani groźba aresztowania i śmierci nie krępuje Proroka Ewangelii. Ukazują tę cechę i wrogo nastawieni faryzeusze: Mistrzu, wiemy, że prawdy nauczasz i nie liczysz się z żadnymi względami...

Jeżeli przyglądamy się Osobie Chrystusa i słuchamy Jego wypowiedzi, zobaczymy i usłyszymy coś bardziej zdumiewającego. Może np. z jakimś niepokojem zauważymy, że Jezus nie ma wiary? Mówi o sprawach niebieskich, o sprawach Bożych tak, jakby wiedział wszystko, tak, jakby nosił to wszystko w sobie. Jezus oczekuje i żąda wiary, wiary w siebie i sobie, ale sam nie ma wiary. Czyż to nie zastanawiające? Albo: Jezus wypowiada się Jam jest Droga, Prawda i Życie. Droga... Prawda... Życie...

Boże mój, któż z ludzi, z wyłączeniem szalonych, któż z ludzi wypowie takie zdania? A myśmy się oswoili. Jam jest Droga – no, to jeszcze. Ale kto, przy zdrowych zmysłach, powie swojemu przyjacielowi albo nawet ojciec dzieciom – ja jestem dla was drogą? Może powiedziec, że jest się przewodnikiem, ale drogą? A kto śmie powiedziec – ja jestem

prawdą? Może wiele prawd się nauczyłem, może dążę do prawdy, może wiele prawd nagromadziłem w swoim umyśle, może jakąś prawdę odkryłem, ale żebym ja był prawdą? – i jeszcze życiem?

Jezus mówi, że ci, którzy chcą ubogacić swe życie, chcą żyć pełnią życia, mają się wszczepić w Niego. Dopiero wtedy, wszczępieni w Niego, rozwiną się w pełni, uzyskają tę pełnię życia w początkach już tu, w rozkwicie – tam.

Nie można przejść obok tego nowego, zaskakującego oświadczenia. Nie można tylko przeczytać te słowa, te zdania.

W innym miejscu Jezus oświadcza: Jam jest Zmartwychwstanie i Życie. Mówi Marcie nad grobem Łazarza: Kto we Mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie na wieki. Jam jest Zmartwychwstanie i Życie. Warto kilka razy powtórzyć te słowa, aby zanurzyć się w ich przepastne głębiny...

Albo przyniesiono paralityka, z powodu ciężby rozebrano płaski sufit, czy dach, na sznurach spuszczone łoże z chorym. Jezus spojrział na niego. Na pewno ujrzał, że był poplamiony grzechami, gorsze plamy niż to schorzenie paraliżu. Jezus go zaskoczył: Synu, odpuszczają ci się grzechy twoje.

Może pamiętamy jak zareagowali faryzeusze i niektórzy z otoczenia – Bluźni, powiedzieli. Jak On śmie mówić – odpuszczają ci się grzechy twoje? Kto może grzechy sam odpuszczać, jeżeli nie sam Bóg? Mieli rację. Któż może grzechy sam odpuszczać, jak nie sam Bóg?..

Ja mogę odpuszczać grzechy wobec mnie popełnione. Jeśli ktoś mi krzywdę wyrządził, ktoś mnie oczernił, mogę mu darować. Mam prawo, wybaczam. Ale jeśli ty, bracie, wyrządziłeś krzywdę bliźniemu, jeśli bluźniłeś przeciw ojcu albo Ojcu Niebieskiemu, jeśli ty byłeś łajdakiem wobec innych i wobec Boga i gdybym ja powiedział, że odpuszczam ci grzechy twoje, oczywiście wskazałibyście mi drogę do zakładu psychiatrycznego. Któż z ludzi może coś podobnego, coś szalonego wypowiedzieć – odpuszczają ci się grzechy twoje?

A Jezus to czynił niejednokrotnie i wciąż wracał do tego. Dziś jeszcze będziesz ze Mną w raj, powiedział swojemu towarzyszowi na szubienicy.

A gdy faryzeusze wciąż przyciskali Go do muru, gdy wciąż Go niepokoiłi, żądając znaku i natarczywie pytali: Kim Ty jesteś, że tak się odnosisz do Boga, do Ojca Niebieskiego i przypisujesz sobie Jego prerogatywy? Pamiętacie, co Jezus odpowiedział Ja i Ojciec jedno jesteśmy.

W innym miejscu powiedział apostołowi Filipowi: Filipie, kto widzi Mnie, widzi i Ojca. Jakże zareagowali Żydzi na tę jednoznaczną odpowiedź Jezusa? Pamiętam – chwycili za kamienie – Musi zginąć pod ciosami kamieni, bo zbluźnił, bo się uważa za równego Bogu.

Gdyby nie był tym, za kogo się podawał. Gdyby nie był tym, jakiego sam siebie ukazywał, rzeczywiście by zbluźnił, straszliwie by zbluźnił. Ale Jezus nie mógł zbluźnić. Nie ma alternatywy ani psycho-



logicznej, ani logicznej. Nie ma alternatywy. On był i jest tym, kim się objawiał. Za kogo ludzie uważają Syna Bożego? Piotr odpowiada: Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego... I dla nas nie ma alternatywy. Jedyna logiczna i psychologiczna, olśniewająca i wstrząsająca, radosna i brzemienna w konsekwencji odpowiedź: Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego, a więc Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego.

Każdy z nas w największych pokusach, największych mrokach, nawet w oku cyklonu czy tajfunu wewnętrznego, powinien to powtarzać: Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego!

Prawda, nie wszystko jasne, co Ty mówiłeś, nie wszystko mi odpowiada. Prawda, że Twoja mowa była często „twarda”. Ale jeśli w tej chwili uświadomiam sobie, że przecież jeśli On był Tym, za kogo się podawał, za kogo się przedstawiał, jeśli był Synem Bożym – to czyż On może być do dna jasny, a słowa Jego przejrzyste? Czy może mi, w moich zmiennych humorach i szaleństwach, we wszystkim odpowiadać? Jeśli On był i jest Bogiem także, to musi być Tajemnicą, bo Bóg, którego bym pojął, przestałby być Bogiem. Jeśli byś pojął Boga, pojął Chrystusa, opuść go, bo to nie jest prawdziwy Chrystus, to nie jest prawdziwy Bóg.

Prawdziwy Bóg, to jest wielka Tajemnica, jak pisał Einstein. I Chrystus też jest wielką Tajemnicą. Nie wszystko w Nim jasne i nie wszystko mi odpowiada, moim namiętnościom, moim spaczonym często potrzebom, moim dążeniom skrzywionym, mojej

pysze, mojej ambicji, mojej małości. Nie wszystko mi Panie odpowiada, czego Ty nauczasz, a zwłaszcza czego żądasz.

Ale pytam: dokąd pójde, jaka alternatywa? Pójde do Platona? Pójde do Buddy? Pójde do Marksa? Pójde, ich uznaję za Boga, za Droge, za Prawde i Życie? Jaka alternatywa?

Boże, w proch się rozpadli tamci ludzie i nie tylko ich ciała, ale w większości i ich teorie. A ich charakter, lepiej się nie przyglądać z bliska niektórym z tych wielkich i największych. Nie! Zatem za apostołami, za św. Piotrem powiedzmy: Panie, dokąd że pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego.

Tak, po twardej mowie o Eucharystii ludzie zaczęli uciekać, wymykać się z synagogi tak, jak czasem wymykają się ludzie z naszych kościołów. Zaczęli wymykać się i Jezus to zauważył. Nie wstrzymywał siłą, ale i nic nie zmienił w swojej mowie, a oni mówili – „twarda mowa” i odchodzili. Zwrócił się wtedy do apostołów: Czy i wy także odejść chcecie? – Nie, mówi Piotr, Dokądże pójdziemy, Panie, dokąd? Chociaż twarda jest Twoja mowa, w tych słowach jest życie; przyjrzelismy się Tobie, u Ciebie myśl, słowo, postawa i życie to jedno. Nie ma schizofrenii, nie ma rozdarcia – wszystko jedno!

A dlaczego jednak wielu i po lekturze Ewangelii nie wierzy w Jezusa? Otóż to On sam dał też odpowiedź. Czytamy w Ewangelii św. Jana takie słowa, wypowiedziane przez Jezusa do Nikodema: A są

polega na tym, że na świat przyszła Światłość, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemności niż światłość, albowiem uczynki ich były złe. Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie idzie ku światłości, aby nie potępiono uczynków jego. Ten zaś, kto czyni prawdę, idzie ku światłości, aby ujawniono uczynki jego, że w Bogu ich dokonano.

Dymitr Mereżkowski, sławny pisarz i myśliciel rosyjski, dopowiada: złodziej nie lubi światła, złodziej zawsze uchodzi w zakamarki, w najciemniejsze ulice i uliczki, bo się boi. Tak samo człowiek, który nosi w sobie charakter złodzieja, w najszerszym tego słowa znaczeniu, będzie się bał Jezusa. No, bo cóż, wtedy trzeba zmienić pogląd i samemu trzeba się zmienić – to konsekwencje.

Jeżeli Jezus był Bogiem, to wtedy konsekwentnie trzeba uznać wszystkie Jego poglądy, Jego tezy za prawdziwe. Jeżeli był Bogiem, to mówił prawdę, Jeżeli Jezus był także Bogiem, wtedy te zasady etyczne, które głosił, te normy etyczne, są słuszne. Choćby były trudne, choćby wydawały się nam niesłuszne, ale skoro On powiedział, tak jest. Jeżeli Jezus był także Bogiem, to wtedy instytucje przez Niego ustanowione mają charakter boski, wtedy i te sakramenty, i ta Msza św., i ta Instytucja naczelna – Kościół, ma charakter boski, mimo że na nim można dostrzec liczne plamy, bardzo brudne plamy, na tej stronie zewnętrznej. Ale mimo to widać, że ona świeci, że ten Kościół świeci przez wieki. I między

sofizmaty włożymy takie „dowodzenie”: Patrz! – widzisz, na słońcu plamy, a mówiono wam, że słońce świeci”. Tak, na słońcu są plamy, ale słońce świeci i grzeje, stanowi warunek życia. I Kościół ma plamy, ale świecił i świeci, i świecić będzie aż do końca świata.

Oto konsekwencje, które trzeba przyjąć i dlatego ludzie negatywnie zintegrowani, ustabilizowani boją się Jezusa, tacy ludzie się Go boją. I dlatego rządy się boją i państwa się boją. I dlatego Ojciec św., Jan Paweł II, nasz wspaniały rodak, w swojej inauguracyjnej Mszy św., podczas homilii powiedział do całego świata: Nie bójcie się Jezusa, otwórzcie Mu granice, On wam nie zburzy ładu, nie bójcie się. Tak trzeba było powiedzieć, bo niestety, wielu się boi i wielu ludzi i wiele rządów i wiele państw. A ten lęk – to tragizm człowieka, narodów i świata.

Przyjaciele, a jak wygląda nasz stosunek, do Jezusa? Jak się układają nasze stosunki z Jego Ewangelią? Ile tam konsekwencji i zaufania?

Dużo by na ten temat mówić, ale może trzeba zwrócić uwagę na to nasze nachylenie, które ma miejsce w stosunku do Boga, a co wczoraj dość mocno dźwięczało w naszym rozważaniu: pomniejszamy Boga, pomniejszamy i Jezusa, bardzo Go pomniejszamy. Na to składa się wiele czynników. Oczywiście, nie bez winy są i kaznodzieje, i pisarze. Wszyscy skłonni jesteśmy do pomniejszania i Jezusa.

Akcentujemy, zwłaszcza u nas w Polsce, okres Bożego Narodzenia, Jezusa Dzieciątka. W porządku, Jezus był Dzieciątkiem, ale żeby nie był nim w naszej świadomości przez całe życie, bo wtedy tworzy się religia „bożonarodzeniowa”, taki specyficzny, mały, lukrowany katolicyzm polski, choć dziś o polskim katolicyzmie, ze względów emocjonalnych, dość trudno obiektywnie mówić.

Jezus był i Barankiem. Tak, był Barankiem Bożym w okresie męki i opiewamy Go w Wielkim Poście, a zwłaszcza w starym nabożeństwie Gorzkich Żali. Był Barankiem. Ale nie tylko był Dzieciątkiem i nie tylko był Barankiem... A u nas za często tak się składa: Jezus Dzieciątko – Jezus Baranek, a potem pustka. I nasz katolicyzm i nasze chrześcijaństwo subiektywnie jest jakieś dziurawe i wtedy na miejscu będzie przypomnieć ostre uwagi przedwojennej kobiety, pisarki i filozofa dobrej miary, pani Grossek – Koryckiej. Woła ona w książce „O supremacji zła”: – Pora zdjąć z Chrystusa ten ckliwy lukier i naiwne kolorki, jakimi Go pokryła wyobraźnia pastuszków i świętych panienek! Uczyniono Go wzorem bierności, nazywają Go tylko „Barankiem łagodnym i bardzo cierpliwym”, a ten Baranek zniósł panujący Kościół, a na miejsce jego postawił swój. Ten Baranek kapłanów i doktorów stojących na straży starego Zakonu starł w proch miażdżącą swą krytyką i za to umarł, i za to został przecież ukrzyżowany. Był Barankiem łagodnym i bardzo cierpliwym w okresie samoofiary, męki

i śmierci. W epoce nauczania imponuje mądrością i siłą. Już dwunastoletnim chłopcem będąc nawiązuje spór z doktorami Kościoła i wykazuje swoją wyższość w teologii. Do synagogi wchodzi, nie należący do jej składu, ze swobodą urodzonego króla lub arcykapłana. Przemawia do najwyższych dostojników ad hoc, jak mistrz i rabbi. I niektórzy mówili: – On jest taki jak nasz rabbi, to jest prawda.

Uwaga – żeby nie pomniejszyć Syna Bożego!

My wierzymy w Jezusa, ale skontrolujmy, czy także konsekwentnie wierzymy Jezusowi. Bo to różnica. Wierzę, że Jezus był Synem Bożym, Mesjaszem, a w ślad za tym wierzę i ufam Tobie Jezu, ponieważ Ty to powiedziałeś, ponieważ Ty nakazywałeś. Wierzę, ponieważ Ty zabroniłeś. Jeżeli nawet każesz mi się rzucić w otchłań absurdu – wierzę, że ten pozorny absurd jest jakimś nadsensem, którego ja w tej chwili nie widzę. Choćbyś więc kazał rzucić się w przepaść, w otchłań, idę, bo wierzę, bo ufam Tobie!

Skontrolujmy siebie, a my zbyt często mówimy – wierzę w Jezusa, ale to za trudne, to znowu niejasne, a to mi nie odpowiada, a to nieżyciowe, a to absurd na nasze czasy. Czy to jest konsekwentna wiara Jezusowi?...

Staniemy kiedyś nad otchłanią, nikt tego nie uniknie, staniemy nad urwiskiem, które wywoła uczucie lęku, który jak kleszcze ściśnie naszą osobę – szarpnie nas ból rozpaczy... Ale jeżeli się nauczymy zawierzać Jezusowi, ufać Jemu i kochać

Go, wtedy rzucimy się w Jego Imię w przepaść. I na pewno poczujemy, że mocarne, a zarazem ojcowskie ramiona pochwycą nas w pól i poniosą nas z tej przepaści i poniosą na nowy, obiecany nam „ład”. Tak, to będzie ostatnia funkcja naszego Zbawiciela przed naszym ostatecznym zbawieniem. Ale już dziś tę wiarę Jezusowi powinniśmy okazywać, uczyć się jej przynajmniej, bo nikt nie zaimprovizuje tego ostatecznego aktu, tego się trzeba nauczyć. I dzisiaj powinniśmy czasem w wyobraźni stanąć nad tamtą nieuniknioną przepaścią i powiedzieć: Jezu, kiedy Ty każesz się rzucić tutaj, w tę przepaść, rzucę się; jeżeli każesz mi zerwać z tą osobą, zerwę z nią; jeżeli każesz mi spalić te wszystkie książki, które ja mam na półce, spalę. I niektórzy naśladowcy Jezusa czynili to w formie dramatycznego symbolu gotowości: św. Franciszek z Asyżu, pamiętacie, rzucił wszystko. Nawet odzież zdjął z siebie – masz, ojcze, zabieraj i rzucił się w „absurd”. Albo nasz wielki brat Albert. Niektórzy mu zarzucają, że spalił w pewnym momencie wszystkie swoje obrazy, wiecie o tym chyba, wpakował je do pieca. „Absurd”? – nie absurd, tylko bohaterstwo. On chciał powiedzieć w ten sposób Jezusowi, że gotów jest rzucić się dla Niego nawet w „absurd”. Credo quia absurdum.

I takie także znaczenie ma sławny aforyzm św. Augustyna, który opacznie niektórzy ateści chcieli interpretować: Tak, wierzę, że w „absurd” się rzucam.

Musimy kończyć nasze spotkanie, ale pozwólcie, że przeczytam jeszcze parę wypowiedzi, właśnie odpowiedzi na pytanie Kim dla mnie Jezus? Skąd te wypowiedzi? Otóż przed kilku laty prowadziłem tu rekolekcje, tak jak dzisiaj i poprosiłem uczestników, aby postarali się odpowiedzieć sami sobie na to pytanie – Kim dla mnie Chrystus? – szczerze, nie z katechizmu, nie gotowe formuły, lecz własne odpowiedzi i odczucia. I bardzo wielu napisało. To nie była ankieta Tygodnika Powszechnego, to była nasza własna ankieta.

Oto odpowiada jeden z inżynierów: Od czterech lat jestem inżynierem analitykiem elektronikiem. Nie zaliczam się już, co prawda, do grona studentów, niemniej z przyjemnością uczęszczam na akademickie spotkania. Ponieważ ostatnimi czasy to pytanie do mnie ciągle powracało, wydaje mi się, że znalazłem na nie odpowiedź. Nie mogłem powstrzymać się od pisemnego na ten temat wyrażenia moich krótkich myśli. Chciałbym tylko dodać, że param się w pracy zawodowej konstrukcją urządzeń automatyki i elektroniki, stąd też moje rozumowanie będzie wyrażone językiem czysto technicznym. Kim dla mnie Chrystus? Jest On dla mnie wartością zadaną, celem, do którego powinien zmierzać po trajektorii układ regulacji – człowiek, którą wyznaczył Chrystus. Trajektorię tę jednoznacznie określił przykazaniami. Wyposażył układ regulacji człowieka w czynniki orientujące go w położeniu, w stosunku do trajektorii zadanej. Sprzężenie zwrotne –



sumienie niejako nękające układ do uregulowania błędów, ustanowił wspaniały system korekcyjny lotu, jakim jest spowiedź, po której układ-człowiek wraca na zadaną trajektorię. Wspaniały jest również dodatkowy system niezmiernie silnego sprzężenia zwrotnego, jakim jest Kościół. Chrystus wyposażył więc układ-człowieka we wszystkie niezbędne elementy gwarantujące trafienie w cel. Z większym lub mniejszym przeregulowaniem w drodze do celu, ale zawsze możliwymi do szybkiego ich skorygowania. Ogrom zjawisk fizycznych, z którymi człowiek niemal co dzień spotyka się, zawarta jest prawidłowość, do której człowiek próbuje się zbliżyć w swoich konstrukcjach, zmuszają mnie do uważania Chrystusa, jako nieskończoną mądrość i doskonałość.

Ktoś inny, odpowiadając na pytanie: Kim dla mnie Jezus Chrystus?, pisze że Jest wielkim i tak bliskim, że aż nie czuję Jego wielkości. Bez Chrystusa i Ewangelii świat nie mógłby istnieć. Modłę się o otwarte serce, oczy i o drogę do prawdy. (Studentka)

Chrystus jest dla mnie wszystkim, moim drogowskazem, moją wyrocznią, On, tylko On kieruje moim życiem. Gdyby nie to, że tak mocno wierzę w Jego obecność, o wiele więcej błędów bym popełniła. On mówi do mnie, nie zabraniam. Ja Go słucham. Kocham Go bardzo, ale chciałabym jeszcze mocniej Go kochać, staram się o to usilnie, ale ciągle wydaje mi się, że ta moja miłość do Chrystusa

jest wciąż za mała. Chrystus jest dla mnie więcej człowiekiem niż Bogiem. Przed Bogiem, Jego wielkością, odczuwałabym lęk, a przed Chrystusem lęku nie czuję. To, że staram się postępować dobrze, nie czynię tego ze strachu i bojaźni, ale z miłości do Chrystusa – Brata. Tak mocno Go miłuję, że nie chcę Go zasmucić. On jest moim najlepszym Przyjacielem, z którym co wieczór rozmawiam. Mówię Mu o przeżyciach minionego dnia, o tym, co było radosne, co smutne i zawsze zasypiam pokrzepiona tą myślą, że jutro będzie lepiej. O, jakże powinnam dziękować Niebiosom, że mam takich rodziców, którzy nauczili mnie kochać Chrystusa.

Może na zakończenie jeszcze jedno zdanie z pism Dostojewskiego: Nie ma nic piękniejszego, głębszego, miłszego, rozumniejszego, odważniejszego, doskonalszego niż Chrystus. Wierzę i z miłością zazdrośnika powtarzam sobie, że nie tylko nie ma, ale i być nie może.

O, jakże powinniśmy być wdzięczni za koleżanki, kolegów, za duszpasterzy, którzy ułatwili mi wiarę w Chrystusa i ułatwili mi miłość.

Dzisiaj wszyscy sobie chyba jesteśmy nawzajem wdzięczni, bo wszyscy wymieniamy swoje myśli, swoje uczucia, swoje nazwane i nie nazwane prądy wiary. Czujemy to. I wszyscy jesteśmy w Nim i z Nim, a On z nami. Zostańmy w chwili ciszy, by uświadomić sobie i tę radosną prawdę Mistycznego Ciała Jezusa i przeżyjmy ją...

# III. SUMIENIE

## WPROWADZENIE

I znów zbliżamy się do Ofiarnego Stosu, do tego Ogniska, do tego Pożaru, jaki zapłonął na szczycie Kalwarii, a którego odbicie i którego płomienie buchają także w tej Najświętszej Ofierze pod osłoną tej skromnej, zewnętrznej Liturgii. Ale taka jej istota i stąd też ziemia, na której stoimy jest święta, a Ten, Który płonie, Najświętszy. Obyśmy mogli jak najszerzej otworzyć swoje wnętrza na przyjęcie tych promieni i płomieni. Żebyśmy mogli nabrać tego ciepła, tego gorąca i żaru do swoich serc.

I w tym celu poprosimy Go o to, żeby oczyścił wszystkie nasze kanały, żeby usunął wszystkie zapory. Największe zapory stanowią nasze złe przywiązania, nasze winy, nasze zaniedbania.

Spowiadam się... Jaki nieład często panuje w widzeniu i ocenianiu wartości, jakże skłonni jesteśmy rozmieniać wielkie wartości na miedziaki, na drobne. Jakże jesteśmy skłonni zbierać szkiełka

zamiast pereł. Jakże jesteśmy czasem przywiązani do tych małych, tanich rzeczy, przemijających, a nie dostrzegamy, nie szukamy, nie zdobywamy tych, które są na szczycie hierarchii, które są po prostu bez ceny.

Otóż każdy z nas, każdy chrześcijanin, powinien mieć taką hierarchię zdecydowanie ustawioną, rzecz jasna nie w najdrobniejszych szczegółach, bo tych jest za dużo, ale zasadnicza oś, zasadnicza piramida musi być przez nas określona i zbudowana. Boże, przecież jasne, że na szczycie wszystkich wartości jesteś Ty – Wartość nad wartości! Więc nie mogę, nie powinienem nie ujmować Tobie we własnej świadomości, we własnym odniesieniu do Ciebie. Ty jesteś na czele, Ty jesteś Alfą i Omegą całej rzeczywistości. Ty jesteś początkiem i końcem każdego dnia, jak byłeś początkiem i będziesz końcem tego świata. Potem, w świetle tej najwyższej Wartości, tej Nadwartości, która jest Osobą, spojrzę i na siebie. Kogo ukazałeś jako wartość niemalże po sobie zaraz, kogo? No, chyba nas ludzi, mnie. Dowodem tego, czy wyrazem tego jak mnie widzisz, jak mnie cenisz, Boże, jest Twoja ofiara, Twoja zapłata za nasz i mój wykup z niewoli zła.

To Ty wszystko, co związane było z życiem człowieka, co raduje i boli, swoje ciało, a nawet i duszę – wszystko rzuciłeś na stos. Właśnie na Kalwarii. Za jaką cenę jesteśmy kupieni, za cenę męki, krwi i śmierci jak mówi św. Paweł. A więc bezcenna wartość. Po Bogu człowiek, a więc ja, ja także. Oczywiście

ście, na moje „ja” składa się wiele elementów, ale przecież nam, chrześcijanom, a nawet w ogóle ludziom myślącym, nie trzeba dowodzić, że źrenicą, osią, jądrem naszego człowieczeństwa, mnie człowieka, jest mój duch.

Mój duch stworzony na obraz i podobieństwo Twoje. Mój duch myślący, wolny, czujący, zdolny do miłości. I otóż, jeżeli duch jest tą najwyższą wartością we mnie, to znów nie mogę uszczuplać tej wartości na rzecz marginesu, na rzecz peryferii. Muszę wszystko czynić, ażeby tę istotną wartość zachować i ubogacić, żeby substancję mego człowieczeństwa zachować i ubogacać i ubogaconą oddać Bogu.

Oto zasadnicza hierarchia wartości. Jeżeli tak te sprawy ustawimy, wtedy względnie wszystko jakoś się ułoży w kształtną całość. Wtedy nie będziemy karykaturą, jakąś rozdętą, jakąś pokraczną, tylko będziemy kształtem. Kształtem na obraz i podobieństwo naszego Stwórcy. Toteż Jezus w przypowieści upomina nas, abyśmy szukali tego skarbu ukrytego w tej mnogości różnych wartości, zjawisk, rzeczy i osób. Byśmy byli podobni do tego kupca, który umie szukać pereł, zna się na nich, znajduje i kupuje tę perłę, ale przedtem wszystko sprzedaje. Wszystko poświęca, ażeby ją nabyć. Właśnie tę perłę.

I oto powstaje pytanie praktyczne. Chcesz wiedzieć, jak wygląda Twoja hierarchia wartości, chcesz wiedzieć, czy odnalazłeś tę perłę, ten skarb w roli? Zapytaj – za co jesteś gotów oddać życie, za

co? Może to pytanie zbyt drastyczne? Nie, nie powinno być drastyczne wśród nas, chrześcijan.

Oto gdzieś czytałem, że w niektórych szczepach Indian w Ameryce Południowej stawiają starsi to pytanie dojrzewającym chłopcom i w ogóle dojrzewającej młodzieży. Stawiają pytanie: „Za co gotów jesteś oddać życie?” I czekają na odpowiedź. Jeśli młodzieniec lub dziewczyna nie odpowiedziliby na to pytanie, nie zdają egzaminu dojrzałości i stają się godni pogardy. Muszą natychmiast dać odpowiedź – „Za co gotowi są oddać swoje życie”.

Otóż i my, chrześcijanie, nie tylko dzisiaj, ale właściwie codziennie powinniśmy zadawać sobie pytanie – za co, czy za kogo jesteś gotów oddać życie? To będzie znaczyło, że tę wartość, tę osobę najbardziej kochamy. To będzie kryterium, sprawdzianem naszej miłości i naszej wielkości moralnej.

Prawda, śpiewamy z zapalem piosenkę: „Co jest najważniejsze”. Ale obawiam się czy chociaż ze świadomością i uwagą wypowiadamy te głębokie słowa – Teraz już wiem, za co warto życie dać? Czy zdajemy sobie sprawę z wielkości tej deklaracji?

Obyśmy, Panie, byli gotowi oddać w każdej chwili, a przynajmniej wyrazić gotowość oddania życia dobrowolnie za tę Perłę, za ten Skarb trochę zamglony, trochę zakryty, którym Ty jesteś, Boże, Trzykroć Święty, Nieskończony, który jesteś Pełnią, Absolutem i Miłością.

## **SUMIENIE**

Wiem, że jesteśmy w trakcie permanentnej modlitwy, a więc może z tej niskiej fali wzniesiemy się na wyższą. Otwórzmy swoje myśli, swoje serca, swoją wolę, abyśmy mogli jak najwięcej wartości Bożych, wartości ponadhistorycznych, wiecznych przyswoić. Dokonujemy wielkiej rewizji życia. Dokonujemy, jak pan profesor Dąbrowski powie, dezintegracji pozytywnej. Kruszymy i kwestionujemy pewne zastale schematy myślenia, nastawienia, orientacji, stosunków.

Otóż dzisiaj winniśmy zapytać siebie, jak przeżywamy sens i zadanie naszego życia. Ktoś może powiedzieć, czy to ważne? No, w naszym środowisku tego dowodzić nie trzeba. Nie tylko można, ale wręcz jest to istotny problem, istotne pytanie. I z miejsca dodajemy, jeżeli ktoś nie widzi sensu życia i nie widzi swoich zadań życiowych, ten właściwie jest u kresu życia, tj. końca życia. Za tym progiem zaczyna się wegetacja, zaczynają się różne frustracje, różne prostracje, różne dezintegracje ale negatywne, rozkładające i nie scalające, przychodzi nawet fizyczna śmierć przez zamach na siebie – nie mam sensu, nie mam celu, koniec.

A człowiek, jako homo sapiens, jako istota myśląca, chce widzieć rozum i racjonalność w swoim życiu. We własnej egzystencji jakiś rozum i jakąś racjonalność. Jednym słowem sens życia właśnie. Nie chodzi tu o sens życia nadawany przez nas, bo możemy nadawać sobie małe i większe sensory. Chodzi tu raczej o sens egzystencjalny, o sens ontolo-

giczny, płynący z samej egzystencji, z samego bytu. Jest to pytanie, które sformułował znany mi maluch wobec swojej mamy: Mamusiu, po co się właściwie żyje? Oto pytanie filozoficzne, po co się żyje.

Otóż człowiek powtarza – chcę widzieć rozum, racjonalność i sens życia tak pojęty. A więc jakiś związek z absolutną racją, z absolutną racjonalnością, z jakimś rozumem kosmicznym, czy nadkosmicznym, z jakimś nadsensem, a to są imiona Boga.

Czyli człowiek spontanicznie chce widzieć ten związek z Bogiem, chociaż za Franklem powtórzmy, że ci ludzie nie uświadamiają sobie tego Pana Boga. Otóż, gdy tego zabraknie, tego odniesienia, tego światła – mgła zaczyna nas osaczać, mgła, ciemność, zaczyna nas przenikać chłód, pustka. Profesor Frankl zauważył, że znaczna część nerwic współczesnych ludzi, znaczna część gorszych chorób niż nerwice, ma swoje źródło w tzw. pustce egzystencjalnej. On to tak nazywa – pustka egzystencjalna. Gdy przychodzą do niego tacy pacjenci, pan Profesor stara się właśnie drogą, czy metodą akuszera Sokratesa, wydobyć u tego człowieka to widzenie, przyjęcie sensu. Jeżeli to był człowiek wierzący, to stara się w nim także zrekonstruować wiarę. Omówienie tego problemu znajdziecie w książce „Homo sapiens” albo też w książce tego samego autora „Nieświadomiony Bóg”.

Profesor Frankl nazywa tę metodę logoterapią, od słowa greckiego logos czyli sens. Logoterapia to



jest metoda wyzwolenia, ukazywania człowiekowi sensu jego życia i sensu jego cierpienia nawet. Otóż tę pustkę, czy tę ciemność, to zagubienie sensu znieść może człowiek żyjący na niższym poziomie kultury, człowiek, który ma prymitywne potrzeby albo prawie tylko prymitywne. Tym się tłumaczy chyba fakt, że stosunkowo najmniej samobójstw jest właśnie wśród ludzi prymitywnych, u ludzi biednych.

Co więcej, Frankl stwierdził, że mało było samobójstw w czasie wojny, gdy przecież bieda, niebezpieczeństwa osaczały człowieka z różnych stron. Otóż, w takich sytuacjach trudnych, prymitywnych, człowiek zdolny jest, aby przeżyć tę pustkę, czy nie odczuwać tak dotkliwie tej pustki egzystencjalnej.

Ale gdy człowiek zaczyna myśleć, gdy zaczyna dociekać, staje nad przepaścią nawet zamachu na swoje życie. I stąd chyba tak należy tłumaczyć fakt, że w krajach nasyconych, w krajach bogatych jest stosunkowo największa ilość samobójstw. Jeżeli tak, to wtedy ateizm, który odziera z tej racjonalności świat i człowieka, wbrew popularnym, pospolitym wypowiedziom, ateizm odziera właśnie z tej racjonalności świat i człowieka. Bo jeżeli na początku była materia ślepa, głucha, pozaosobowa, jeżeli na początku była rzecz, a nie racja, a nie rozum, a nie Osoba, no to wszystko przecież tonie we mgle. Wszystko tonie w mrokach. Wszystko jest irracjonalne.

Właśnie ateizm dla ludzi myślących, dla ludzi konsekwentnych jest groźny i zgubny. Od tej strony nie naciągamy, drodzy. Za chwilę ilustracje.

Dla ludzi myślących i wrażliwych jest zgubny, jak śmierć, bo ukazuje człowiekowi absurd. Prowadzi go do absurdu, do marazmu, do zaprzeczenia sensu. Czy tak widzi tylko ksiądz, który tutaj mówi? Nie. Widzą to wyraźnie ateści, nawet marksści. Oto, gdy o tym mówię, przypomina mi się fakt bezsporny, jaki miał miejsce w Jelonkach pod Warszawą. Tam to studenci zaprosili na wykład profesora Schaffa. Przeprowadził wykład. Na końcu zaproponował dyskusję. Chwila kłopotliwej ciszy, potem, jak sam profesor Schaff opowiada, gdzieś spod ściany wstaje jakiś niepokaźny student, trochę jękając się mówi: Panie profesorze, może na przykładzie swojego życia powie Pan, jaki jest właściwie sens egzystencji, tak z punktu widzenia ateistycznego, marksistowskiego. Profesor pisze: Zachnąłem się, sądziłem, że to kpina, szyderstwo, ale w ułamku sekundy ujrzałem, że setki oczu zawisło na moich wargach. Uświadomiłem sobie wagę, doniosłość problemu. I odpowiedziałem szczerze, tak jak sądzę, że z punktu ateistycznego nie ma sensu, nie widać sensu egzystencji, sensu życia.

Na Zachodzie głośno mówi o tym Sartre. Wciąż podkreśla, że życie to absurd, to nonsens, a drugi człowiek to piekło. Ale chyba najmocniej na ten temat wypowiedział się Albert Camus, który nie był jeszcze chrześcijaninem, gdy pisał te słowa – nie

zdążył zresztą do chrześcijaństwa dojść. Mówię nie zdążył, bo już się zbliżał. W książce pt. „Człowiek zbuntowany” pisze: Jeżeli w nic się nie wierzy, jeżeli nic nie ma sensu i jeżeli nie możemy uznać żadnej absolutnej wartości, wszystko jest możliwe, nic nie ma znaczenia, nic za, nic przeciw. Zabójca ani ma rację ani jej nie ma. Można palić w krematoriach tak samo jak można poświęcić się pielęgnacji trędowatych. On tu mówi o sensie nadanym. Człowiek może nadawać sens, może w krematoriach palić, ale może też i poświęcić się trędowatym. To sens nadany. Ale chodzi o ten sens egzystencjalny i on o tym mówi: zło i dobro są przypadkiem i kaprysem. W tym wypadku zmierza do natychmiastowej skuteczności. Ponieważ nic nie jest ani prawdziwe ani fałszywe, dobre lub złe, trzeba okazać się najbardziej skutecznym tzn. najsilniejszym.

Jest to podziw takżę tej dyskusji, jaką prowadzą bracia Karamazow w pierwszym tomie dzieła Dostojewskiego o tym samym tytule. Jeżeli nie ma Boga, pyta jeden z braci, no to wszystko wolno. A zabić ojca wolno? Oto straszne konsekwencje. I sądzicie, że to są czasy przeszłe?, tzn. kilkadziesiąt lat temu? Otóż zwróćmy uwagę na taką rzecz, która się dzieje w Kambodży. Warto przeczytać ten artykuł Górnickiego, który drukowano w Przekroju, a wcześniej w Kulturze. To jest przerażające. Bądźmy szczerzy, chcę być szczerzy wobec Pana Boga i Was. Bolesne dla nas, Polaków, że dopiero teraz odkrywa się u nas, co tam się stało, gdy Pol Pot

zmienił protektora. A gdy już miał poprzedniego protektora, nam bardzo bliskiego, wtedy była cisza o tym, co się działo w Kambodży. Przecież tak to wygląda.

Albo jeszcze jedna osobliwa sprawa. Oto niedawno, przed paru tygodniami, przeczytałem w jednym biuletynie wyjątek ze skryptu etyki węgierskiej wyższej uczelni z roku 1978 (proszę ten rok zapamiętać) i znalazłem tam takie zdanie: człowiek pod żadnym przymusem nie może zabić swojej matki, chyba żeby się stała zdrajcą klasowym. Na pociechę naszą podaje się tam, że na interwencję czytelników Ministerstwo Oświaty to sformułowanie uznało za niesłuszne. To też ma swoją wymowę, że „Ministerstwo Oświaty uznało za niesłuszne”...

Otóż to nie jest naciąganie księdza. Ateizm jest groźny i zgubny, powtarzam – dla ludzi myślących i wrażliwych, bo dla tych, którzy się znajdują na najniższym poziomie kultury, którzy walczą o chleb, którzy są głodni, dla tych może ten problem przez pewien czas nie istnieć.

Bawił kiedyś we Wrocławiu wiceprezydent Indii, myśliciel zarazem hinduski, Radhakrihnan. I właśnie tu, we Wrocławiu powiedział, że ateizm jest książką bez pierwszego rozdziału. Tu właśnie, w auli Leopoldina powiedział te słowa, „a książka bez pierwszego rozdziału nie ukazuje sensu.” A dodajmy od siebie, chyba się zgodzimy z tym, że to jest książka także bez ostatniego rozdziału... Bo dokąd? Do nikąd, w najlepszym wypadku, do nikąd.

Otóż tak się sprawa przedstawia, a więc nie sądzmy, że to jest mało znaczące pytanie o sens i cel życia, o istnienie Absolutu, o rację pierwotną, o odniesienie człowieka i jego postępowania w stosunku do tego Absolutu.

Ale w tym miejscu czas zadać pytanie – dlaczego podobne zjawiska zachodzą także wśród chrześcijan? Powiedziałbym wśród nas, nawet w naszych środowiskach. Przecież prawie codziennie, a przynajmniej w niedzielę wyznajemy Wierzę w życie wieczne. Pięknie wyznajemy tę prawdę, a jednocześnie ci sami ludzie, którzy mówią Wierzę w życie wieczne, często zbulwersowani, często osaczeni, mniejsze lub większe trudności przeżywający, a zwłaszcza, gdy utracą kogoś bliskiego, jakies oparcie, mówią, że nie mają już sensu życia. Ktoś nie zda egzaminu, ktoś nie dostanie dyplomu, mówi – otruję się chyba, otruję się, bo właściwie marnuję życie, bo coś się nam nie udało. I dlaczego tylu chrześcijan również popada w różne prostrae, różne melancholie, a nawet rozpacz. Nie będę już mówił o rozpacz, którą się często słyszy i widzi nad grobami. Albo jakże często I mnie się coś od życia należy – tak chrześcijanka mówi. Kochana, w podtekście odczytujemy Twoją niewiarę, tzn. co? – tylko to życie istnieje? Tylko to i tu?

Takie zjawiska nie są odosobnione, żeby nie powiedzieć częste. Co to jest? Otóż, chyba odpowiedź jest na to uproszczona, ale słuszna – mała wiara i słabe przeżycie tej prawdy, którą teoretycznie

wyznajemy. Słabe przeżycie, ona nie jest włączona w nasze codzienne życie.

A przecież – chwila refleksji. Jeżeli jest Bóg, a więc istota Samoistna, Ta, która z niczego wywołała cały ten ogrom wszechświata. Jeżeli istnieje najwyższy Rozum, Absolutny Rozum, istnieje ta najwyższa Absolutna Miłość, to przecież człowiek, w jakiejś mierze do Niego podobny od tej strony najgłębszej, przecież musi mieć jakiś sens, musi mieć miejsce tutaj jakiś rozum, w odróżnieniu od irracjonalności, musi mieć.

Tołstoj zapyta wtedy: Przecież ludzie nie powstałi, tak jak grzyby po deszczu, nie wiadomo po co albo ażeby byli zjedzeni, zdeptani? Więc jeżeli przyzywamy istnienie Boga, to przecież w tej wierze i w tym przeżywaniu już mieści się właściwie i sens życia; przecież to smuga światła reflektora, który oświetla nie tylko nasz glob ziemski, ale określa bezkresne przestrzenie kosmiczne. Tak, intuicja, intuicja. Każdy człowiek ma tę intuicję, jakiś słuch wewnętrzny, jakieś okrzyki wewnętrzne, które też dostrzegają, że przecież nie może się to skończyć na absurdzie, pustce. Przecież człowiek nie jest nachylony na pustkę. Przecież nawet biologia zwraca na to uwagę, że każdy organ człowieka, ten fizyczny i każdy organ psychiczny, każda potrzeba psychiczna, ma swój korelat. Korelatem dla oka jest światło, korelatem ucha jest dźwięk, korelatem żołądka jest chleb. A człowiek właśnie jest nachylony na tę przestrzeń poza tym horyzontem. Czasem

słyszysz przeciąg, podmuch wieczności w sobie, gdy ma dobrze ustawiony słuch. Przyroda nie działa w pustkę, natura nie znosi pustki.

Toteż ludzie, którzy mają dobre oczy albo, którzy przecierają oczy ducha, którzy otwierają uszy ducha, spostrzegają po prostu, przeżywają tę wieczność. Wspomnę chociażby tę postać wspaniałą i tragiczną, czy tragiczną i wspaniałą, postać doktora Nagaj z Nagasaki, ofiary bomby atomowej. Lekarz kliniki, właśnie w tamtym mieście, katolik, chrześcijanin. Otóż Nagaj opowiada historię swego nawrócenia. Jako student medycyny był ateistą, materialistą, ale gdzieś, na trzecim roku, wezwano go depeszą do domu. Okazało się, że matka leży na łożu śmierci, umierająca. Takaszibe, tak go nazywała, przypadł do niej, objął ją, jeszcze ciało było ciepłe. Zanurzył się wzrokiem swoim w jej wzrok. Zanurzył się w jej wzrok i w tym gasnącym wzroku matki, opowiadał, że nie da się tego wyrazić, dostrzegł otchłań nieskończoności. Uświadomił sobie, że matka, która go kochała i która tak go jeszcze kocha, nie może przecież umrzeć na wieki, bo ta miłość nie może przecież zniknąć bez śladu. I w oczach ujrzał wieczność. Jego pogląd materialistyczny rozpadł się w gruzy i właśnie podjął wtedy kroki do misji, do misji chrześcijańskiej i został, jako lekarz, chrześcijaninem. „Dzwony Nagasaki” – to jego książka.

I takie zjawiska się obserwuje. I można dostrzec poczucie sprawiedliwości. Każdy człowiek ma wrodzone, zakorzenione poczucie sprawiedliwości. Jak

nam trudno znieść krzywdę, niesprawiedliwość wyrządzoną i nam i naszym braciom czy we Wrocławiu, czy to w Katowicach, czy w Warszawie nas boli, że tam człowiek jest krzywdzony, mamy poczucie sprawiedliwości.

I otóż, gdyby nie było tej Absolutnej Sprawiedliwości, tego Absolutnego Rozrachunku, powiedzmy biblijnie, tego Sądu Ostatecznego, to przecież wszystko byłoby przerażające, oszaleć można, obłęd... Wtedy Neron, Hitler, Stalin, wszyscy schodzą do wspólnego mianownika nicości. Przeróżające. Wtedy o. Kolbe i jego kaci są zrównani. Przeróżające. Otóż to poczucie sprawiedliwości również postuluje po prostu to, o czym mówi Jan Jakub Rousseau. Nie był chrześcijaninem, o tym wiemy, był deistą, ale mówił i napisał: Gdyby nie było innego argumentu istnienia życia pozagrobowego, to fakt, że kat, że zbrodniarz depte piersi sprawiedliwego, byłoby wystarczającym dla niego argumentem istnienia tej wyższej sprawiedliwości.

Nam, współczesnym, coś niecoś mówią pacjenci doktora Mood'a. „Życie po życiu”, niebawem wyjdzie ta książka, potem ją przeczytajcie. Pacjenci mówią coś, to nie jest jakiś koronny i ostateczny argument, ale coś mówią... Charakterystyczne, kilkaset wypowiedzi z przeżycia śmierci klinicznej, w ciągu tych kilku minut. Proszę – światło, tunel. Światło, ale nie takie jak nasze jarzeniówki dają, światło, życie jakieś, światło uszczęśliwiające, światło jakby osoba, oto jest ta światłość wiekuista, jakaś prawda. Ale



zupełnie słusznie Antoni Gołubiew powiedział: Nie zapominajmy, którzy interesujemy się wypowiedziami pacjentów doktora Mood'a, że oni stoją (pacjenci) i my stoimy z nimi przed barierą, jeszcze w obrębie horyzontu, a co za horyzontem, empiria na ten temat nie może nic powiedzieć. Empiria nic, ale wektory wskazują, wektory już kierują w odpowiednim, w ramach tego myślenia, wnioskowania logicznego dla nas, ostateczną postawę wiary, przekonania, że nie cały umrę, „Non omnis moriar”. Jest oczywiście autorytet Tego, który stamtąd przyszedł i tam nas oczekuje, autorytet Tego. On właśnie w całej swej nauce i działalności podkreślał w podtekście, wszędzie mówił „Wieczność was czeka, bezkres, pełnia, morze miłości was, miłujących, czeka”. Gigantyczna wizja życia wiecznego. I wtedy ta śmierć, która tak nas niepokoi, straszy, ta śmierć w świetle, w łuku tej wielkiej wizji i tej wielkiej nadziei. Śmierć to nie śmierć do nikąd, ku absurdowi, tylko śmierć do Królestwa Bożego. Czyli po prostu narodziny, drugie i ostatnie narodziny człowieka. Jeżeli tak ten moment widzimy, wtedy znajdziemy analogię w stosunku do pierwszych naszych narodzin i do pierwszej śmierci. I wtedy ujrzymy, że życie człowieka ujmuje się w trzech etapach: pierwszy, bardzo krótki etap, około dziewięciu miesięcy, w łonie matki; drugi etap w tym czterowymiarowym świecie w łonie przyrody albo też można powiedzieć w łonie Kościoła – Matki, a trzeci, etap bezkresu.

I otóż analogie dalsze. Po cóż żyje człowiek w tym pierwszym okresie? Jaki sens? Oczywiście, przygotowanie do drugiego okresu życia. W tym pierwszym okresie formułują się organy życia zmysłowego, formułują się ręce, nogi, oczy, uszy, mózg. Gdybyśmy mogli rozmawiać, nawiązać dialog z tym małym człowiekiem, moglibyśmy mu zadać pytanie: po co to wszystko? A on mógłby odpowiedzieć – nie wiem, oczy mi tu nie potrzebne, uszy też mi tu niepotrzebne, niepotrzebne mi ręce, niepotrzebne mi nogi, żyję bowiem w tej ciasnej przestrzeni, to mi na nic nie potrzebne. Mógłby nawet powiedzieć: ten maluch – to nonsens, absurd, jeżeli się to wszystko skończy na tym, to koniec, absurd. I miałby rację. Gdyby wszystko skończyło się na tych bolesnych narodzinach, na tej bolesnej śmierci, to absurd, nonsens. Ale my, stojący na zewnątrz, powiedzielibyśmy temu małemu człowiekowi: człowieku, tutaj ci to niepotrzebne, ale oto, za kurtyną, za cieniutką kurtyną, znajduje się inny świat, świat barw i ty będziesz ten świat widział, świat dźwięków i ty będziesz ten świat słyszał. Będzie to świat o ograniczonej wolności, będziesz mógł chodzić, biegać, przemierzać ścieżki i drogi tego życia. Ten świat będzie światem, w którym będziesz mógł tworzyć, potrzebne ci ręce, będziesz tworzył, a więc to wszystko tobie potrzebne. Oczywiście, ten mały człowiek mógłby nam zadać pytanie, jak ten świat wygląda? Zamilklibyśmy tak, jak ta siostra w Laskach, kiedyś, w mojej obecności zamilkła, gdy

niewidomy chłopak, na niebaczne słowo siostry, „jaki dzisiaj piękny błękit”, zapytał: siostrze, jak błękit wygląda? Zaniemówiła siostra, no bo co miała powiedzieć, jak błękit wygląda? Zaniemówilibyśmy, gdyby to dzieciątko zapytało nas, jak świat wygląda. Ten świat jest dla niego niewyobrażalny, choć taki bliski.

Dalsze jeszcze analogie. Otóż, jak człowiek przygotowuje się w pierwszym okresie życia do życia w drugim okresie, tak w drugim, najwyraźniej, przygotowuje się do życia w trzecim okresie, na wyższym poziomie, na niewymiernym jakimś poziomie w świecie ducha. Właśnie w tym czterowymiarowym świecie rozwijają się nasze organy życia duchowego, myśli, wola, wyższe uczucia. Ale nas Ewangelia uczy, Jezus uczy, że rozwija się w nas, jeżeli włączymy się w niego, w Jezusa, jeżeli włączymy się w Boga przez wiarę, rozwijają się w nas organy jeszcze wyższego życia, życia, którego nie ma w przyrodzie, życia nadprzyrodzonego. A więc, nadprzyrodzona wiara, wzrok Ducha, nadprzyrodzona nadzieja, oczekiwanie, nadprzyrodzona miłość, która nie będzie miała kresu i te jeszcze inne, nieznanne organy tego życia nadprzyrodzonego w nas się formują, rozwijają.

Jeszcze analogia. Tak jak człowiek, jak dziecko dobrze rozwinie się, dobrze przygotowuje się do tego drugiego życia, jeżeli będzie dobrze włączony w krwiobieg swojej matki, jeżeli krew matki będzie

zdrowa, spontanicznie się wtedy te organy rozwijają, bez świadomości matki i dziecka.

Otóż chrześcijanie, a nawet niechrześcijanie, jak sobór nas pouczał, włączeni są również w łono matki i organizm, nie organizacja, organizm, w żywy organizm Kościoła. Św. Paweł nazwał ten organizm Mistycznym Ciałem Chrystusa. On – Głowa, a my, Jego członki i przez nas i nasze członki przepływają strumienie tej Boskiej Krwi – łaski. Tej Krwi, która nas przeobstwia wewnętrznie. I oto, jeżeli jesteśmy włączeni przez wiarę, a zwłaszcza przez miłość w to słowo Matki – Kościoła Wielkiego w nas, bez naszej świadomości nawet, rozwijają się te organy, rosną, ubogacają się. Jednym słowem przygotowujemy się do tego ostatniego, trzeciego okresu.

I tutaj dotkniemy rzeczy bardzo bolesnej, ale prawdziwej. Zapytacie, a gdzie ksiądz podział piekło? Mówi ksiądz tylko o światłości wiekuistej, o szczęściu, a przecież Jezus w Ewangelii wyraźnie mówi o nim.

Nie ma tutaj miejsca na szczegółowe rozważanie tego zagadnienia, czy tego problemu, tylko może oderwijmy się od pewnych obrazów, od pewnych antropomorfizmów. Jezus używał obrazów i antropomorfizmów i przypowieści, ażeby możliwie wszyscy, także ludzie prości, rozumieli podstawowe prawdy. Ale nie musimy widzieć Boga jako Sędziego, który waży, mierzy, który bierze za kark człowieka

i ciska w otchłań piekielną ognia. Nie musimy widzieć jak widział Michał Anioł.

Właśnie wróćmy teraz do analogii. Jeżeli człowiek w łonie matki nie uformuje organów tego życia naturalnego, jeżeli się urodzi bez rąk i bez nóg, jeżeli się urodzi z utraconym wzrokiem, jeżeli się urodzi głuchy albo kaleka, a czasami może się urodzić jakieś monstrum (oczywiście nie upraszczam tych problemów, to są tylko zarysowane rozmowy niedokończone), analogicznie może być z tymi drugimi narodzinami, z tą drugą śmiercią. Jeżeli ktoś z ludzi nie uformuje sobie organów życia nadprzyrodzonego, jeżeli nie pozwoli, żeby w jego wnętrzu krążyły soki nadprzyrodzone, soki Boga, może zostać niewidomy, głuchy, a może stać się monstrum, jeżeli wciąż i wciąż pozostawał w negacji dobra, w negacji prawdy. Szaleńcy, opętani, biesy. Jeżeli przeczył wciąż, Pan Bóg nie będzie go brał i ciskał do tego ognia piekielnego, on sam taki się narodzi – nie ma ratunku.

Tak jak nie ma ratunku, w zasadzie żadna operacja nie pomaga, jeżeli urodzi się dziecko zdecydowanie kalekie, ale oczywiście, to jest tylko zarysowana sprawa. W zasadzie ci ludzie, którzy przez wiarę i miłość włączeni są w łono, można powiedzieć, w łono Boga, idą ku światłości wiekuistej, idą ku temu stanowi, który tradycyjnie nazwaliśmy Niebem.

Co Jezus na ten temat powiedział, jak wygląda Niebo? Niektórzy mówią: „ja wyobrazić sobie Nieba

nie mogę”. Wróćmy wtedy do tego dziecka w łonie matki, a czy dziecko może wyobrazić sobie ten świat, który za kurtyną łona jego matki się znajduje? Otóż analogicznie rzecz się ma. My nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie tamtego świata, toteż św. Paweł, w imieniu Jezusa, powiedział: Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło, co Bóg zgotował tym, co Go miłują... Nie wyobrażaj sobie, bo jeżeli wyobrazisz sobie niebo, to akurat to nie będzie niebo. Jeżeli wyobrazisz sobie piekło, to akurat to nie będzie piekło. Natomiast zwróćmy uwagę na to ostatnie słowo św. Pawła: Co Bóg zgotował tym, co Go miłują. Dla miłości otwarta droga, dla miłości są to szczęśliwe narodziny. Miłość człowieka prowadzi właśnie człowieka w to morze, w ten ocean, w tę otchłań miłości, której tylko przebłyśki widzą pacjenci tego doktora Mood’a – w „życie wieczne”.

Światło wiekuiste. Oto gigantyczna wizja, afirmacja życia, oto droga – i czas otwarty nie zamknięty. A jak zamknięty wygląda? Kozakiewicz pisał: Oto mam mieszkanie nowocześnie umeblowane, mam Syrenkę, o której tak marzyłem, byłem w Pradze i w Budapeszcie, na Krymie i nawet w Paryżu i co dalej? Oczywiście mogę jeszcze dokupić jeden, czy dwa meble, wymienić Syrenkę na Fiata, pojedę jeszcze do Sofii i co dalej, i co z tego? Właściwie nie mnie już w życiu nowego nie czeka. Boże mój, kiedyż ten człowiek wyjdzie z tego zakłętogo koła, przecież czuje, że to jest czas i krąg zamknięty. Dlaczego

nie wejdzie na spiralę, a może jest już na spirali, bo jednak to człowiek myślący. Rzeczywiście, zamknięte wszystko, a my w tej wizji mamy i drogę otwartą, i czas otwarty, i przestrzeń otwartą, jeżeli można tu mówić o przestrzeni.

W drodze tej wielkiej wizji, wielkiej nadziei, wszystko znajduje swój sens. Wtedy znajdują sens tutaj prawa moralne, jako drogowskazy, ukazujące nam tamten tunel, przez który będziemy przechodzili. Wtedy i sens pracy widzimy. Wszystko lichy weźmie, co my tutaj stworzyliśmy w dziedzinie kultury materialnej, wiatry kosmiczne wszystko to rozwałą, jesteśmy przecież ludźmi XX wieku i o tym przecież wiemy, w to wierzyć nie trzeba? No, po co, wtedy prawda dla wszystkich pokoleń?

Ale praca ma sens wewnętrzny, ona kształtuje ciebie, kształtuje człowieka wtedy, jeżeli widzimy ten łuk gigantycznej wizji życia, wtedy nawet i sens cierpienia zaczyna się jakoś ujawniać. Wtedy nawet życie kalek przestaje być życiem zmarnowanym. Boże i kalecy mają do zrobienia wiele i wiele robią, że wspomnę chociażby Legris Denis. Dziewczyna, która urodziła się bez rąk i nóg, która wzbudziła przerażenie u pielęgniarki, która podjęła ją z łona matki. A potem dziewczyna, w twardej walce o swoje „więcej być”, osiągnęła ponadprzeciętny poziom rozwoju kulturowego, osobowego. Pisarka, malarka, po wyższych studiach, zdaje się jeszcze nie umarła, do niedawna była działaczką na osi Paryż – Nowy Jork w organizacji opieki nad kale-

kami. I ona właśnie mówiła, że kalecy to nie są ludzie gorsi i niżsi. Oni również mają pełne ręce roboty i mogą zrealizować to, co jest istotne.

A co jest istotne? „Więcej być”, nie „więcej mieć”, bo to wszystko lichy weźmie, to krąg zamknięty. Więcej być. Jeżeli tak będziemy rzeczy widzieli, zwłaszcza chrześcijanie, nie utoniemy wtedy w tej powodzi konsumpcji, taniej konsumpcji. W powodzi tego wielkiego żarcia, jak ks. Pasierb tutaj kiedyś się wyraził – żarcie, konsumpcja, więcej mieć. A Jezus mówi: więcej być, zostaw czasem nawet to wszystko, do licha, zostaw, stań się czasem ubogi jak Franciszek z Asyżu, czy nawet współczesny nam Karol de Foucauld, czy jak brat Albert. I wtedy, w tym świetle i straty i porażki nie będą już tak dotkliwe, nie będą nas łamały, nie będą nas przyniatały. Jeżeli wszystko będziemy widzieli sub specie aeternitatis, w łuku tej wielkiej nadziei i tej nieskończoności „Pełne ręce roboty i odpowiedzialności, wielka odpowiedzialność”.

Gdy o tym mówię, staje przede mną postać Fiodora Dostojewskiego, o którym chyba wiecie, że w grudniu 1894 roku stał na szafocie, pod szubienicą i patrzył na miasto z kopułami cerkwi, w poświacie zachodzącego słońca i już był przygotowany na śmierć. I jakie refleksje przychodziły mu do głowy w ostatniej chwili życia, pisał tak w „Idiocie”: Gdyby tak przywrócić sobie życie, co za nieskończoność i wszystko byłoby moje. Zamieniłbym wtedy każdą minutę na całe stulecia. Nic bym nie



utracił. Każdą chwilę bym liczył i odliczał. Każdą bym należycie wykorzystał. Tak i wydaje się tego słowa dotrzymał i wykorzystał ten człowiek w ostatniej sekundzie ułaskawiony. Zdażył posłaniec zakomunikować katom, że skazaniec jest ułaskawiony.

Nasza orientacja i tutaj, ale i tam, przede wszystkim tam, powinniśmy przeżywać tam i tu. My, tutaj, nie lekceważymy tego świata i wartości, które nam Bóg zostawił i polecił nam, abyśmy uprawiali ten świat, to poletko, siebie i świat. I tutaj, ale przez tutaj – tam.

Trzeba kończyć, może zakończymy nasze niedokończone nigdy rozważanie modlitwą, którą wzniesiemy do Boga razem z Juliuszem Słowackim:

Boże, zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,  
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj,  
Jedną myśl wnieś, niechaj pali żarem,  
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem,  
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,  
Zadzwonię wyrazami i dokończę życiem.  
Oby się tak stało z nami...

## IV. MIŁOŚĆ

### WPROWADZENIE

Dzisiaj będziemy w szerszym zakresie rozważać treść, warunki, problematykę miłości. Już teraz, w czasie Mszy św., która przecież zawiera w sobie coś, a właściwie wszystko, co miało miejsce na Kalwarii, a więc zawiera w sobie ten pożar miłości Jezusa do nas. Już w czasie tej Mszy św. zwrócimy uwagę na to, co Jezus rozumie przez miłość Boga do człowieka i człowieka do Boga.

Nie wdaje się Jezus w filozoficzne rozważania, które są nam w jakiejś mierze potrzebne. Ukazuje tę miłość, można by powiedzieć, w postaci, w formie jakby razowego chleba. Oto mówi, że ten, kto miłuje Go, kto zachowuje Jego przykazania i Jego wolę, tak jak Jezus miłuje Ojca, zachowując Jego wolę, spełniając Jego wolę.

Otóż stąd i z innych mów Pana Jezusa oraz z Jego postawy wynika, że jądrem, a właściwie szczytem miłości jest oddanie się. Co znaczy odda-

nie się? Oddanie swojej woli, bo w zasadzie istota wolna chce postępować według swojej woli, według swego chcenia. Chce pozostawać w jakiejś autonomii, niezależności od spraw, czy osób zewnętrznych. Taka jest ogólna tendencja. Ale jeżeli ja komuś oddaję swoją wolę, gdy ja pozwalam się kierować, jeżeli (to druga strona medalu) jestem posłuszny, świadomie jestem posłuszny, nie ze strachu, ale tylko dlatego, że w tej Osobie ujrzałem najwyższą wartość.

To przecież jest chyba szczytowa miłość. I właśnie taką szczytową miłość okazuje Jezus swemu Ojcu Niebieskiemu. Jezus wciąż i wciąż podkreśla, że przyszedł, aby wypełnić wolę Ojca. Chce i nawet w tej dramatycznej godzinie modlitwy w Ogrójcu mówi: Ojcze, jeżeli można, niech odejdzie ode mnie ten kielich, ale nie moja lecz Twoja wola niech się dzieje. A więc oddanie woli swojej woli Ojca. Jezus mówi, że właśnie w ten sposób powinniśmy się starać Jego kochać. Nie filozofować, tylko po prostu dążyć do tego, aby być do Jego dyspozycji, żeby tak poddać wolę swoją woli Jezusa, by zagubić różnicę między swoją wolą, a Jego wolą.

Właśnie św. Teresa od Dzieciątka Jezus uchwyciła tę szczytową cechę miłości, osiągnęła ją właściwie, bo zwierzała się swoim siostram, że ona właściwie nie widzi, gdzie się kończy jej wola, a zaczyna wola Jezusa. Po prostu wola Jezusa jest jej wolą. Oto szczyt.

I to jest właśnie ten szczyt, który w innej wersji omawialiśmy rozważając osobowość Pana Jezusa i nasz stosunek do Niego. Właściwie powinniśmy dążyć, jako chrześcijanie, ażeby być gotowymi nawet na absurd w naszych oczach. Jeżeli Jezus powie – rzuć się w tę otchłań, rzucam się, czy też przynajmniej wyrażam gotowość. Jeżeli poleca przyjąć jakąś zasadę, jakąś prawdę, która może mi się wydawać nawet absurdem, przyjmuję, zawierzam Tobie, bo wola Twoja jest moją wolą. Boże, to jest dopiero szczyt. Wszyscy jesteście wezwani. Nie od razu się to stanie, będziemy odwoływać to poddanie woli Jezusa, te deklaracje swoje, te ślubowania swoje, przysięgi, zapewnienia. Św. Piotr upadł, biedak, choć tak zapewniał: Panie, pójdę z Tobą wszędzie, gdzie pójdiesz. Niestety zanim kur zapieje, trzykroć się mnie zaprzesz. Nie wierzył w to Piotr, ale przydała mu się ta lekcja doświadczenia, słabości. Wtedy stał się człowiekiem dojrzałym, przestał być porywczym, trochę zarozumiałym, pewnym siebie. Widział, że trzeba zawierzyć Jezusowi, ale i polegać na Nim, że siła nasza i nasza wierność na Nim się opiera.

Toteż dzisiaj, przechodząc w drugą połowę naszych spotkań rekolekcyjnych, już będziemy prosili Pana o to, żebyśmy pozostali Mu wierni, wierni Jego woli, żebyśmy spełniali Jego wolę, na początku może nawet z oporami. To jest pierwszy stopień miłości. Wypełniamy, ale z oporami. Ale gdy już z radością wypełniamy, to już drugi stopień miłości.

Oczywiście, upraszczamy te stopnie, ale tak je mistrzowie życia wewnętrznego widzieli. Jeżeli wolę Pana spełniamy z radością, to już jest wyższy stopień miłości, a jeżeli już nie zauważamy różnicy między wolą Jego, a naszą, jeżeli za św. Pawłem możemy powiedzieć Już żyję nie ja, ale żyje we mnie Jezus, to już jest ten najwyższy stopień miłości.

## MIŁOŚĆ

Powinniśmy dążyć do miłości z całego serca, do miłości człowieka jak siebie samego, do miłości nieprzyjaciół nawet. My, zamiast dążyć do realizacji tej miłości, dyskutowaliśmy. Życiowe czy nieży-ciowe, słuszne czy niesłuszne. I raczej pochyłaliśmy się na odpowiedź: na nieży-ciowe. To jest utopia, no bo jak kochać Boga ponad wszystko, jak miłować nawet nieprzyjaciół. Jak tu oddać życie za kogoś. Dyskutowaliśmy i nie pracowaliśmy nad tym. I właśnie tutaj tkwi druga przyczyna tego deficytu miłości. Zamiast pracy, zamiast modlitwy, zamiast pod-sycania i rozpalania tej iskry miłości wszczepionej przez Boga w nas, myśmy mędrkowali i marnowali czas. Czas mijał i tworzyły się deficyty czasu, ogromne deficyty.

Wtedy, na szczęście, przemówili w ostatnich cza-sach uczeni, psychiatrzy, wychowawcy. Widzieli dramat, gdy miłość zanikała. Zwłaszcza w stosun-kach międzyludzkich dramat wymierny. Po prostu wydaje mi się, że w tej dziedzinie, dziedzinie dowar-

tościowania miłości i w dziedzinie ukazania treści tej autentycznej miłości, chyba największą zasługę położył, wymieniany przeze mnie, Erich Fromm. Chyba większości z Was wiadomo, że niestety, jeszcze ateista, a przynajmniej agnostyk. Uczciwy uczony, który szanuje religię jako wartość par excellence ludzką, jako wartość ogromnie doniosłą i rozdział o miłości Pana Boga w tej książeczce, którą będziemy cytowali, jest interesujący dla kapłanów także. I my niejednego stamtąd możemy się nauczyć, mniejsza o genezę, źródło miłości – to jest jego filozofia. Zostawmy ten pierwszy rozdział. Podejźmy do fenomenów, które on ukazuje jako fenomenolog. Otóż, co ukazuje.

Mówi, że miłość to nie uczucie tylko. Posłuchajmy tego, co mówi w książeczce „O sztuce miłości”. Pisze tak: Czynny charakter miłości, poza elementem dawania, ujawnia się tym, że zawsze występują w niej podstawowe składniki dla wszystkich jej form i postaci, troska, poczucie odpowiedzialności, poszanowanie. Ponieważ większość ludzi uważa, że pożądanie seksualne kojarzy się z pojęciem miłości, łatwo dochodzą do błędnego mniemania, że się kochają, kiedy się poddają (proszę – mit, rozprasza ten mit). Gdyby miłość (pisze dalej ten wielki uczony) była tylko uczuciem, nie byłoby potrzeby do obietnicy dozgonnej wzajemnej miłości w małżeństwie.

Uczucie przychodzi i może odejść. Tak, przychodzi i może odejść. To jest właśnie ten ptak, który

może odlecieć. Chociaż może Fromm za daleko się posunął tutaj w deprecjacji uczucia, bo może być uczucie bardziej stałe, jeżeli się o nie troszczymy, jeżeli dbamy, jeżeli ono ma fundament i ma źródło, skąd odbywa się dopływ tego uczucia.

Teraz uwarunkowania. Trzeba tutaj dodać, co dalej Fromm pisze: Miłość powinna być zasadniczo aktem woli, decyzji, całkowitego oddania swojego życia życiu drugiego człowieka. Jest to w rzeczywistości rozumowe uzasadnienie nierozzerwalności małżeństwa. W innym miejscu mówi, że jest to postawa. To jest przede wszystkim postawa. Miłość, a więc nie tylko uczucie. Miłość raczej opiera się o wolę i rozum. Rozum widzi wartości, a wola chce tej wartości, bo funkcją woli jest chcieć. Oto, na tych stabilnych władzach psychicznych, opiera się ta postawa, którą nazywamy miłością. Tutaj więc i wtedy miłość to jest wyjście z siebie, tak mówi Fromm. Tak też mówił Jezus, to jest wyjście z siebie, wyjście ze swojego egoizmu. To jest trudna sprawa i jeżeli jest sprawa trudna, to trzeba się jej uczyć. I dlatego Fromm nadał tytuł swojej książeczce „O sztuce miłości”. Właśnie w samym tytule chciał powiedzieć, że trzeba miłości się uczyć, że trzeba tę sztukę uprawiać, aby się jej nauczyć, ażeby umieć wyjść ze swego egoizmu. Trzeba nad tym pracować systematycznie.

Rodzice mają pracować nad dziećmi w zakresie wychowania, nauczyciele w szkole, a my, dojrzały, winniśmy to robić sami, systematycznie. Właśnie

systematycznie, nie dorywczo, nie tylko w euforii wzniesienia, w czasie rekolekcji, na pielgrzymce do Częstochowy I stąd wy, którzy kontaktujecie i angażujecie się w naszą pracę w duszpasterstwie akademickim, zwłaszcza „pod czwórka”, może w nadmiarze usłyszycie ten postulat wysuwany przez duszpasterzy. Prosimy o systematyczność, choć niewiele, pomału, ale systematycznie. Konwersatorium „życia wewnętrznego” na tym jest zbudowane. Chciałbym też poderwać tych, którzy w niezwykle sposób służyli bliźniemu na placu przy Alei Pracy, gdy tysiące pacjentów kierowało się do Harisa. Tam przeszło 60 lub 80 osób z naszego ośrodka pracowało od rana do nocy, rzeczywiście z poświęceniem i zapalem. Gdy parę razy znalazłem się na tym placu, pomyślałem sobie, Boże, jaki kapitał się wyzwala, ile dobra, ile prawdziwej, autentycznej miłości i myślałem, że to da się skanalizować, zatrzymać te strumyki i stworzyć z tego jakąś nie-dużą rzekę, stałą rzekę. I poprosiłem, aby przyszli i żeby stworzyli jakąś stabilną grupę pomocy bliźnim, bo przecież tacy ludzie czekają nie tylko na Harisa, ale czekają na was w różnych domach dziecka, zakładach dla niewidomych, w zakładach dla starców i nawet w szpitalach, a nawet może w waszych domach akademickich. A jeżeli nie wiecie gdzie, to wskażemy. Zamarło to wszystko, byłem przerażony. Oto jest wada Polaków. Zryw jednorazowy z Warszawy na Jasną Górę, śpiewy, wzruszenia, a potem góra rodzi mysz!



Stąd, wracając do Fromma, mówi on – systematycznie *nulla dies sine linea*, jak dawniej mówili, żaden dzień bez linijki, choćby bez jednego słowa. Otóż, uwaga na to i teraz, na tym fundamencie miłości, o którym mówi Fromm, na tym fundamencie miłości ogólnoludzkiej, a w świetle Ewangelii na tym fundamencie miłości także Boga, mogą i powinny rozwinąć się inne różne postaci miłości.

Miłość, w gruncie rzeczy, miłość autentyczna jest jedna – wyjście ku drugiemu człowiekowi z szacunkiem, z troską, z życzliwością, z odpowiedzialnością, z ofiarą. Miłość ogólnoludzka, a teraz na podścielisku tej miłości, na fundamencie tej ogólnej miłości, miłości Boga i człowieka, mogą wyrastać specyficzne krzewy, drzewa, kwiaty miłości w różnych postaciach. Inną będzie miłość Boga do człowieka, człowieka do Boga, inna miłość rodziców do dzieci i dzieci do rodziców, inna miłość będzie między starszkami, a inna między młodymi. Będzie inna miłość przyjaźni, a inna nieco miłość przywiązania, bo przywiązanie też jest miłością. W różnych relacjach, różne postaci.

I cóż wśród tych postaci znajdujemy, oczywiście także najbardziej obchodzącą młodych ludzi postać miłości, którą nazywamy erosem. To też jest postać miłości. Jakie ma ona cechy charakterystyczne poza tą fundamentalną stroną, jeżeli ona tam jest, jaka jest specyfika erosu? Miłość między mężczyzną i kobietą. Nasylenie uczuciem, dużo uczucia. Ale z uczuciem łączy się i pożądanie, bo dwie płcie.

I tam może się wyzwalać namiętność, gwałtowne uczucie, a więc namiętność. Tam się odbywa także popęd, który nazywamy seksem. A więc powstają, rodzą się, burzą się, łączą się niestabilnie, chwiejnie, dynamicznie. One są w gruncie rzeczy pozytywne, ta właśnie kotłowanina, gdzie znajdują się te materiały dające pewien napęd życiu człowieka. To są siły ślepe, siły pierwotne i pożądanie, i namiętność, i popęd, i uczucia. I oto tutaj rodzi się zamieszanie, rodzą się niepokoje, rodzi się to, o czym śpiewaliśmy w piosence greckiej Gra: dziś tak, jutro nie, dziś nie, jutro tak i znów tak i znów nie. Gra się zaczyna, gra tych żywiołów. Albo co tak pięknie wyraża Bułat Okudźawa Pierwsza miłość z wiatrem gna, z niepokoju drży. Druga miłość życie zna i z tej pierwszej drwi. A ta trzecia jak tchórz w drzwiach przekręca klucz i walizkę ma spakowaną już. Niepokój, dziś tak, jutro nie, wir, wir...

To fakt, tego doświadczyliście i doświadczać będziecie i w takim wirze, i w takiej zamieci, i zamieszaniu łatwo stracić głowę i niektórzy tracą. Tak. Łatwo stracić głowę i orientację, można utonąć w tym wirze rzeczywistości i niektórzy zatracają szacunek, wyższe wartości, te współczynniki miłości i nawet gotowi są zdradzić Boga i te podstawowe prawa etyczne. Przychodzi dewastacja, a zwłaszcza wtedy, gdy taka miłość staje się bogiem, gdy jeszcze do tego teoryjkę się robi – mit. I lubimy te mity. Ale zastanów się, kto do ciebie mówi, co mówi.

Powiesz, co zrobić? Tacy słabi jesteśmy, bardzo słabi. Jezus stawia twarde wymagania, wielkie wymagania, ale jeszcze bardziej wspomaga. To jest jedyny we wszechświecie i na świecie, jedyny Pedagog, który nie tylko stawia wymagania, ale je wspomaga. Nawet zanim postawi wymaganie, już wspomaga. Tylko trzeba korzystać z Jego pomocy, trzeba brać. Pan Bóg nic nie narzuca, lecz wszystko otwiera i każdy z Boga tyle ile chce zabiera (A. Mickiewicz). Ile chcesz, zabierzesz, jeżeli chcesz.

Zaufajcie więc Chrystusowi, afirmacja bez wahań i akceptacja bez wahań, nie tylko wybranych zasad Ewangelii, listów św. Pawła, ale wszystkiego. Akceptacja totalna, pełna, włącznie z encykliką *Humane vitae*. Zawierzcie, że wszystkie normy etyczne i w tej dziedzinie stoją na straży miłości. Chodzi o uratowanie autentycznej, tej właśnie miłości, o której mówiliśmy, która nie zawodzi, która jest trudna, ale osiągalna. I ta właśnie miłość uszczęśliwia i uszczęśliwiają wszystkie inne postaci i formy miłości, jeżeli są oparte o tamtą miłość głębinową i fundamentalną.

No i praca, jak mówi Fromm, i nauka – poczynając od małych rzeczy. Widzieć człowieka, mieć poczucie odpowiedzialności, mieć troskę, żywić gotowość do ofiary, do poświęcenia, do jakiegoś dania. I tak, krok po kroku, szczebel po szczeblu, wznosić się coraz wyżej, a może będziemy zdolni oddać wszystko, a to jest szczytowa miłość. Jezus tak powiedział i Fromm cytuje nawet Jezusa: nie ma

większej miłości niż ta, gdy ktoś życie swoje oddaje za innych. To jest szczyt i do tego będziemy dążyli. I właśnie taka miłość i tylko taka miłość rodzi potem szczęście, a jeżeli zmierzasz do szczęścia, od razu do szczęścia, wszystko stracisz. Wszystkie wróble na dachu o tym ćwierkają, że tak jest. To jest prawo bijące w oczy, jak szukasz szczęścia, stracisz je, a jak szukasz miłości autentycznej, znajdziesz ją. Toteż i Henryk Sienkiewicz napisał w którymś ze swoich dzieł, że Małżeństwo to służba, a szczęście to podarek Boży. Szczęścia nie można wyrwać z piersi żony ani męża, nie można szczęścia wyrwać ani ziemi, ani niebu. Nie wyrwiesz tego szczęścia. Poranisz sobie palce, rozwalisz sobie głowę, ulegniesz sto razy frustracjom i prostracjom i może się nawet znajdziesz w nieszczęsnym szpitalu. A jeżeli będziesz szukał służby Bogu i bliżniemu, wtedy otrzymasz ten podarek, można by powiedzieć produkt uboczny, w postaci szczęścia.

I cóż mam powiedzieć. Z całego serca Wam tego szczęścia życzę, ale przepraszam, tej miłości Wam życzę, tego dążenia do tej miłości. Jeżeli nie w Imię Jezusa, to w imię Fromma, w imię Dąbrowskiego, w imię Frankla, w imię wszystkich odpowiedzialnych pisarzy. Winniśmy wszyscy dążyć i wspierać się nawzajem. Boże, jak my się tu wspieramy, jak my czujemy tutaj wsparcie i w tych ośrodkach duszpasterskich. Nie sądźmy, że jesteśmy pojedynczy, to mit, to jest propaganda, że wszyscy tak postępują, że wszyscy tak robią – nieprawda. Nawet te staty-

styki państwowe wykazują, że jednak 35% młodzieży w Polsce zachowuje tę postawę, której Jezus oczekuje i którą wspiera. Nie wszystkie, a choćby nawet wszystkie i wszyscy tak postępowali, przecież nie jestem w stadzie, nie jestem baranem, jestem istotą wolną i nie mogę przecież iść za wszystkimi. Ja mam sumienie, mam się przeciwstawić, jeżeli zajdzie potrzeba. Trzeba kończyć. Może zakończymy, niedokończone zawsze nasze rozmowy, modlitwą Jewtuszenki, radzieckiego pisarza i poety. Ciekawe, w ogóle zauważyłem, gdy byłem jeszcze na Wschodzie i spotykając się z Rosjankami i Rosjanami, a zwłaszcza Rosjankami, zauważyłem, że nawet tam, gdzie wiary żywej nie ma, gdzie nawet Ewangelia jest w stanie mglistym, to jednak tam, zwłaszcza u tych dziewcząt rosyjskich, jest dużo takiego naturalnego zrozumienia pojęcia godności. I sam słyszałem jeszcze na Wschodzie: Ja nigdy, moja godność tego wymaga. Proszę zauważyć, jaka postawa w przeciwieństwie do trzy razy bardziej katolickiej Polski, gdzie tyle słabości, tyle naiwności, tyle mitów.

Tak więc modlimy się za Jewtuszenką:

„NA MOŚCIE”

Na moście nad Sekwaną szklana

Chłopiec z dziewczyną

- nikt poza tym –

sami nad blaskiem lamp i planet,

ponad szaleńczym zgiełkiem świata.

Gdzieś tam upadły właśnie rządy,

gdzie indziej  
– ktoś przemawia górnie –  
lecz ich to  
– tutaj –  
nie obchodzi  
tak jak Sekwany wody chmurne.  
Stoją bez pieszczot  
i bez słowa  
płaszczem okryli się przed deszczem,  
jakby ktoś w celofanie schował  
dar ziemi,  
ziemi dni jutrzejszych.  
Daj, Boże, nam  
nie skarby, domy,  
i nie gniazdeczka mdłej czułości,  
lecz pozwól  
– w każdej świata stronie –  
stać  
– dwojgu –  
na wysokim moście.  
Na moście wpiętym trwale w Niebo,  
na moście  
świętych prawd i zasad,  
na moście, co nad czas się sklepia,  
i nad postępem,  
fałszem i zdradą.  
Dodam i nad mitami.

## V. SAKRAMENT POKUTY

### WPROWADZENIE

Wchodzimy w krąg piątego spotkania naszych wielkich rekolekcji, rewizji życia, naszej pozytywnej dezintegracji i naszego zbliżania się całym wnętrzem, całym sercem do Boga, do Jezusa. Rzeczywiście, gdybyśmy ujrzeli Jezusa w całej Jego glorii, w całym Jego miłosierdziu i miłości i gdybyśmy mieli wtedy możliwość porównania siebie z Nim w swej małości, a zarazem swej grzeszności z Jego świętością, serce by nam pękło. Ale, daj Panie, zanim pęknie nam serce dla Ciebie, żeby w nas popękały wszystkie zapory, wszystkie przeszkody, wszystkie płoty, wszystkie sznury, te, którymi siebie krępujemy i nie dajemy dostępu Tobie, pełnego dostępu. O to Cię, Panie, na początku tej Najświętszej Ofiary prosimy, o rozwiązanie nas z więzów grzechów, z więzów zła.

Dzisiejsza scena z Ewangelii – sąd ludzki nad kobietą grzeszną. Wzruszająca scena, nie dość się

jej naczytać, nie dość się napatrzeć, nie dość się zanurzać w jej treści, w jej klimacie. Taka wyrazi-  
sta, taka wydawałoby się prosta, a równocześnie  
tyle głębi, tyle wskazań, tyle radości bucha z niej,  
tyle optymizmu, tyle światła miłości. I to wzrusza-  
jące, że Jezus pisał na piasku, nic nie napisał na  
papierze, nie zostawił nam żadnego listu. Pisał na  
piasku. Co pisał? Ewangelista nam nie podaje tej  
relacji, co pisał. Może pisał to pytanie, które posta-  
wił oskarżycielom, może o kobiecie pisał. A ci oskar-  
żali, nastawali, niemalże pieklili się. Jezus powstaje.  
Można wyobrazić sobie Jego wzrok, którym objął  
wszystkich stojących, wszystkich nalegających.  
Objął ich wszystkich, przeszył ich wzrokiem, a oni  
wiedzieli już co to znaczy, odczuli. Zapytał ich: Kto  
z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień.  
Nie oskarżajcie, nie oskarżajcie! Sami na siebie  
patrzcie, róbcie rachunek sumienia, wy, obłudnicy,  
wy formaliści, wy świętoszki. Jeżeli ktoś bez grze-  
chu – rzuć kamień, rzuć!

No, trzeba przyznać, że jednak jeszcze na tyle  
byli giętycy, jeszcze na tyle nie byli skostniali, ażeby  
dopełnić swojej obłudy. Nie śmieli jednak tego uczy-  
nić. A może już się bali, może w panikę popadli, bo  
już sumienie w nich zaczęło się budzić, nowe życie  
wewnętrzne, życie moralne, życie ducha, człowiek  
się przebudził. I zaczęli odchodzić, woleli odejść  
z burzą w sercach. Woleli odejść i dobrze zrobili.

Pozostają dwoje – On i ona. Ona już zrobiła  
rachunek sumienia, ona już dokonała wyboru, ona



już wszystko, jak w błysku pioruna, ujrzała. Sumienie się przebudziło i już wybrała. I po cóż wtedy spowiedź, po co wtedy oskarżanie się jeszcze wobec Niego. Jezus już wszystko widział i ona to poczuła, że widział, że wiedział, a więc pochyliła głowę, niemalże zamknęła oczy i powiedziała: Nikt, Panie, nikt. I Jezus rzekł: I ja cię nie potępiam, idź i od tej chwili nie grzesz. Ja cię nie potępiam, to znaczyło także – i ja cię uwalniam od grzechu, ja cię rozgrzeszam. Boże, kobieta z rynsztoku, kobieta, która zatraciła godność, kobieta przygnieciona pogardą, już zdeptana w swoich oczach i w oczach społeczności. I oto się teraz podnosi, wyprostowuje. Strumienie wichury, światła, wichry jakiejś błogosławionej burzy przepłynęły teraz przez jej serce i już – jeszcze raz Go wybrała, jeszcze raz. I już nie powiedziała nic – że nie będę grzeszyć, bo to, co chciała powiedzieć przerastało możliwości jej słownictwa, jej mowy.

Takie cuda się działy z Jezusem i takie cuda się dzieją. Szczególnie kobiety winny sobie uświadomić, komu zawdzięczają swoją dzisiejszą godność, dzisiejszą równość, nawet więcej niż równość – pokrewieństwo z Matką Boga. Komu zawdzięczają? W różnych sloganach propagandowych mówiono i mówi się, że zawdzięczają to nowym prądom filozoficznym, tym nowym układom społeczno – politycznym, że dopiero teraz kobieta odzyskała swoją godność i wolność. Co za ciasnota widzenia i myślenia. Tam właśnie, w Palestynie, kobieta została

wyprostowana przez Jezusa, dowartościowana, a nawet wyniesiona ponad przeciętny, zwykły poziom godności człowieka, została uhonorowana.

Drugim symbolem, faktem, ale i symbolem, tego wyprostowania i dowartościowania kobiety, była znów wzruszająca scena, którą przedstawia św. Łukasz. Staje przed Jezusem kobieta zgarbiona, od 18 lat nie mogła spojrzeć w błękit i słońce. I oto, nieśmiało zbliżyła się do Jezusa i nie śmiała nic nawet powiedzieć. A gdy Jezus zbliżył się do niej, a spostrzegł ją zanim ona znalazła się w Jego kręgu, położył swoją dłoń na jej głowie, tej głowie pochylonej ku ziemi i powiedział: Kobieto, jesteś uwolniona ze swojej niemocy. I proszę sobie wyobrazić i przeżyć tę scenę, gdy ta kobieta na oczach tłumu wyprostowuje się jeszcze wyżej, aż się przechyla. Oddycha teraz pełna piersią. Boże, widzi błękit, widzi słońce, może spojrzeć w bezkres ponad swoją głową. Boże, co za radość.

Tak, to też miało miejsce z Jezusem, to jest fakt i symbol. Tam kobieta została uleczona, dopuszczona do łaski Pana i Jego Miłosierdzia i tutaj kobieta została dowartościowana, wyprostowana i uhonorowana.

## **SAKRAMENT POKUTY**

Nie ma grzechu, po co się niepokoić. Tak, sądzono, że tą drogą oddali się młodzież od religii, od wiary. Sądzono i zakładano! I słusznie. Bo proszę, jeżeli

nie ma wiary, jeżeli nie ma grzechu, no to po co spowiedź? I oto oddalanie się od spowiedzi. Jeżeli nie ma winy, nie ma grzechu, to po co Msza św., Najświętsza Ofiara? Mówimy – za grzechy. Za jakie grzechy, jeśli jestem niewinny. We Mszy św. tyle wezwań: Panie, zmiłuj się..., Chryste, zmiłuj się... Baranku Boży.... i znów Panie, zmiłuj się... Po co to wszystko, drętwa mowa? Po co Msza? A jeżeli nie ma winy, nie ma grzechu, to po co Odkupiciel jakiś, po co? Od czego Odkupiciel, po co? A jeżeli nie potrzeba Odkupiciela, to w ogóle po co Ewangelia? Po co to w ogóle wszystko. To nonsens, to staroświeckość, to więzy jakieś, to skrępowanie człowieka.

No cóż, i za tym idzie zmiana Boga. Nie ma niewierzących – mówiliśmy i powtarzamy ten refren – tylko przychodzi zmiana Boga. Jednego boga na drugiego, no i przychodzi oczywiście kult idoli. Jak Max Scheler mówił, jeżeli odchodzimy od jednego Boga, przyjmujemy wtedy wielu bogów, politeizm nowoczesny, bałwochwalstwo, kult idoli. I, drodzy przyjaciele, tutaj nasi bracia fanatycy, rzecznicy religii ateistycznej, mają niemałe osiągnięcia. Już też duszpasterze siedzący w konfesjonałach słyszą często spowiadających się nawet już nie z grzechów lecz z problemów. Mam problem, mam kłopoty albo, że już mnie choroba opanowuje. I ci ludzie przychodzą ze swoimi kłopotami, problemami do konfesjonału już na równi jak do psychologa albo do psychiatry. Przychodzą, zwłaszcza do tych ostatnich

i mówią – lecz mnie. Lecz mnie, bo jestem nerwowy, lecz mnie, bo w nerwicę wpadłem, lecz mnie. Rozumiecie, przyjaciele drodzy. Oczywiście, nie mamy możliwości pogłębienia tych haseł, tych słów, tych treści, ale... proszę obserwować innych i siebie, bo nikt nie jest samotną wyspą. Moi przyjaciele drodzy, przeciwko takiej terapii, którą się dzisiaj głosi, słychać protesty. I to ciekawe, mniej kaznodziei. Kaznodzieje niestety, mnie się wydaje, włącznie ze mną, nie spełnili tutaj dobrze swojego obowiązku, bali się pewnych trudnych problemów, bali się. Ale pełnym głosem mówił o tym w XIX wieku Dostojewski w swoich wspaniałych psychologicznych i obyczajowych powieściach. Mówił, że właściwie w każdym, czy prawie w każdym człowieku siedzi zbrodniarz. Siedzi w każdym człowieku także idiota i w każdym człowieku jest coś z tego zbrodniarza, tego szaleńca. W każdym człowieku coś z tego jest.

Analogiczną problematykę podnosił nasz Conrad (Korzeniowski). Jego powieści są nasycone problematyką etyczną, problematyką sumienia. Czytajcie książkę Szczepańskiego „Przed nieznanym trybunałem”, wspaniała rzecz. Ten nasz współczesny pisarz powiada, jaką rolę odegrał Conrad (Korzeniowski) w ustawianiu sumienia pokoleń młodzieży przedwojennej, młodzieży okresu powstania warszawskiego.

Moi przyjaciele, doniosłą rolę w tym zakresie odegrał także prof. Wilhelm Foerster, jeden z największych psychologów i pedagogów naszego wieku

i Dürrenmat w swoich małych, ale jakże głębokich pod względem psychologicznym i etycznym książkach i dramatach.

W rzędzie tych, którzy protestowali przeciwko takiej terapii, znalazł się i Wiktor Frankl, Albert Camus i nasz rodak, światowej sławy prof. Dąbrowski, który w swoich książkach protestuje przeciwko znieczulaniu sumienia i nawet twierdzi, że jeżeli zanika w tobie poczucie winy, to tym samym zanika jeden z głównych dynamizmów twojego rozwoju, twojej dezintegracji pozytywnej i integracji pozytywnej – wtedy koniec z rozwojem twojej osobowości. Ale wszyscy razem właściwie mówili, że znieczulić sumienie człowieka, spaczyć sumienie, wyeliminować poczucie winy, to skończyć z człowiekiem jako istotą moralną, koniec człowieka jako istoty moralnej. Rodzi się wtedy bestia, rozumna, a więc bardziej wyrafinowana, niebezpieczna. I tego dowodzić nie trzeba, przyjaciele drodzy. Wasze pokolenie jeszcze żywo ma w sobie obrazy, przynajmniej z literatury i z filmów, i z opowiadań starszych, co się działo i na Zachodzie, i na Wschodzie, co się działo – bestie wyzwolone, prawda? Wiemy, że i dzisiaj są takie istoty dwunożne, pozbawione sumienia albo ze spaczonym sumieniem. Są, wiemy o tym i to nie mało.

Chyba najmocniej protestował przeciwko tej antyludzkiej terapii Albert Camus, francuski laureat nagrody Nobla, chyba powinniście go znać, przynajmniej z niektórych dzieł.

Albert Camus krzyczał, nie tylko mówił i pisał, tylko krzyczał, że nie ma ludzi niewinnych, wszyscy są winni. A jeżeli ktoś mówi, że jest niewinny, to trzeba się go bać. Dlaczego trzeba się bać tego człowieka, który mówi o sobie, że jest niewinny? Bo, po pierwsze, albo ten człowiek jest niedorozwinięty moralnie, infantylny i to jest niebezpieczny człowiek; nic nie wiadomo, co z niego wyskoczy albo po drugie – ten człowiek ma już spaczony, zagłuszony i nawet zabite sumienie, a to już kandydat na zbrodniarza. A więc boję się ludzi niewinnych, boję się. Gdy ja to przemyślałem, moi drodzy, wierzcie mi, naprawdę się boję, gdyby ktoś przy mnie usiadł i powiedział, że jest zupełnie niewinny, nawet w tym czy innym konflikcie, to ja się boję. Otóż i Albert Camus, tak jak jego poprzednicy, jego kole-dzy, w tych protestach wołają – człowiek powinien podejmować pokutę.

I rzeczywiście, podejmowali pokutę.

Lord Jim podjął pokutę. Prawda i Jean Clement Baptist, bohater „Upadku” Alberta Camusa też podjął pokutę. Twardą pokutę podjął. Przyjaciele drodzy, chociaż czujemy, że ta pokuta jest niepełna, ta pokuta jest blada, chciałoby się powiedzieć, że prowadzi do nikąd, ale pytamy, skąd my to właśnie wszystko znamy, zanim uświadomiliśmy sobie nazwiska i sądy i przestrogi tych wielkich kaznodziejów, proroków laickich, świeckich, a nawet nieco oddalonych od wiary.

Drodzy, skąd my to wszystko wiemy? Wiemy, choć często nie doceniamy tej wiedzy. Drodzy, chrześcijanie wiedzą o tym od dwóch tysięcy lat. Wiedzą, że wszyscy ludzie powinni podejmować pokutę w drodze do tego Odkupiciela i tego Zbawiciela. Jan nad Jordanem mówił: Czyńcie pokutę! A nawet używał ostrych słów Plemię żmijowe. Siekiera przyłożona do drzewa. Czyńcie pokutę! Św. Jan w pierwszym liście pisze: Jeżeli byśmy powiedzieli, że nie mamy grzechu, zwodzimy samych siebie. Nie ma w nas prawdy. Tak, wiemy już o tym.

Wiemy, czym jest grzech, chociaż nigdy do samego dna. Bo to jest „mysterium inignitatis” – św. Augustyn tak to nazwał – „tajemnica przewrotności człowieka”. Mimo to dużo wiemy o grzechu. Wiemy, że to nie tylko przekroczenie prawa moralnego, jak nam kiedyś podawano tę definicję, że to nie tylko kolizja z sumieniem. No, to nie byłoby jeszcze najgorsze, że to nie tylko choroba. Tak, to jest choroba, ale grzech jest to największe zło, bo gdy jest się w grzechu ciężkim, a o takim tu mowa, ma miejsce odwrócenie się człowieka od Boga, od swojego Stwórcy, od swego Boga. Odwrócenie się, oddalenie jest jakby przerwaniem pępowiny w tym łonie matki, tego mistycznego Ciała Chrystusa, a więc zakażenie, a więc obszar czegoś – śmierci, a więc brak tlenu, człowiek się dusi. Tak jest, kochani. I więcej niż mówimy, o wiele więcej. Nie ma większego zła nad grzech ciężki, tak Jezus nauczał i tak jest. Nie mówimy o słabościach, o ułomnościach,

o tych niedoskonałościach człowieka, które nosimy ze sobą jak odzież, jak garby. I znamy też genezę grzechu, również nie w całej pełni, bo to działo się w zamierzchłych czasach, gdzieś w zamierzchłej przestrzeni. Tam właśnie, u kolebki ludzkości nastąpiło zakażenie embrionu człowieka, a potem dalszy ciąg. Człowiek pogłębiał te rany, coraz bardziej się zakażał, coraz bardziej się wykrwawiał. I człowiek czuł, że o własnych siłach nie może się podnieść z tej doliny śmierci, nie może przywrócić sobie życia i pełni życia wewnętrznego i stąd też wołano: Niebioso rośnij spuśćcie nam z góry. Spuśćcie! Niech utworzy się ziemia i zrodzi Zbawiciela, Odkupiciela.

Nawet ludzie żyjący poza kręgiem kultury mono-teistycznej również oczekiwali przyjścia jakiegoś Zbawiciela, Odkupiciela na ziemię. I wypełniły się czasy tu na ziemi. To działo się w czasie i poza czasem. Przychodzi Odkupiciel i znamy Jego Imię i Jego Imiona zastępcze. Przychodzi Lekarz, największy Lekarz i dokonuje leczenia, i wielkiej transfuzji. I można by powiedzieć, nawet słowem nowoczesnym, dokonuje przeszczepów w tej wykrwawionej, uśmierconej już psychice człowieka.

Reanimacja, przychodzi reanimacja. Przez Krzyż. Tam trysnęła ta Krew zbawcza, tam odbyła się szczytowa transfuzja. Ale też i stamtąd te kropelki Krwi zaczęły spływać na cały świat i na całą ludzkość i wstecz i naprzód. Bo to się działo, to wielkie Misterium, w czasie i poza czasem, a więc w tym



czasie, gdy On działał i w tym czasie, w którym my jesteśmy i w tym, w którym tamci nasi bracia żyli przed tysiącami, a może setkami tysięcy lat.

Przyjaciele drodzy, to się nie skończyło tam na Kalwarii. On zdeponował te skarby, zdeponował tę Krew na transfuzję. Zdeponował w skarbcu, w swoim Kościele i ustanowił tutaj pewne znaki, przez które człowiek w szczególny sposób może dokonywać tej reanimacji, tej transfuzji, tej asymilacji zdrowej Boskiej Krwi, uzdrawiającej, regenerującej w pełni człowieka – sakramenty święte.

Znaki. I mimo takiego zła na świecie, tylu złych rzeczy, jednak wydaje się nam, że powoli świat się leczy. Mimo oporów, mimo załamań, mimo nawrotu do tej Barbarii na skutek spaczenia sumienia, zabicia sumienia. To są wszystko narośle, choroby, ale jednak zauważcie, że promienie Ewangelii, a więc ta Krew Jezusa, przenika nawet do tych stref zakażonych, do tych krajów, gdzie ryglowano wejście i przyście Jezusowi.

Papież nasz woła: Otwórzcie granice! Wszystkie systemy, wszystkie rządy, nie bójcie się Go! No i powoli, powoli się otwierają i ONZ, w dużej mierze, przejęło jednak idee ewangeliczne i w dużej mierze realizuje wskazania Pana Jezusa. Ale w szczególny sposób ta regeneracja, to uzdrowienie odbywa się w Sakramencie Pokuty, popularnie zwanym spowiedzią. Tu odbywa się normalny proces nawrócenia człowieka. Tutaj odwraca się od idolków, od różnych bożków, od różnych antywartości, nawraca się

ku Jezusowi. Odbywa się ta „metanoia”, jak Grecy mówili, czyli przemiana, to nawrócenie. Odbywa się tu właśnie owa reanimacja, a nawet uczta. Obraz – Syn marnotrawny. Powraca ten dziad skończony, ten wykrwawiony, ten zakażony, ten brudas śmierdzący i ojciec nie daje mu nawet czasu na to, żeby wyznał swoje winy, żeby wypowiedział to wszystko, co w rachunku sumienia już niemalże wypisał na kartce. Nie daje mu czasu, zamyka pocałunkiem jego usta, bierze go pod ramię, prowadzi do domu i urządza mu ucztę tak aż brat wierny zazdrości temu włóczędze, temu łajdakowi, który był umarł, a ożył.

Reanimacja duchowa. Jak straszną jest rzeczą pozostać sam na sam z własną winą. Może niektórzy z was czytali książkę „Na wschód od Edenu” Steinbeka, a może niektórzy oglądali film, gdzie znajduje się dramatyczna scena. Syn ciężko obraził ojca i ma wyrzuty sumienia, ale niestety, żeby to naprawić jest już za późno, ojciec już stracił przytomność, umiera. Chciałby, żeby ojciec choć na moment się przebudził i odzyskał świadomość, by mógł się wypowiedzieć: Ojcze, zgrzeszyłem, wybac. Ale ojciec odchodzi, mgłą zachodzą jego oczy i wtedy syn powiada: Boże, jak straszną jest rzeczą teraz sam na sam pozostać ze swoją winą na wieki, na zawsze.

Ludzie, którzy mają przebudzone sumienie, nie-raz mogą powiedzieć takie słowa i powiedzą. Ci wszyscy powiedzą, których tutaj nawet nie ma, powiedzą kiedyś, może za późno będzie i też powie-

dza, że straszną rzeczą jest pozostać sam na sam z winą na wieki.

I oto, jacy my szczęśliwi jesteśmy, możemy nawet wyznać przed Nim winy nasze, popełnione wobec naszych zmarłych ojców, matek, żon, zmarłych dzieci, skrzywdzonych kolegów, koleżanek. Pójdziemy tam do Niego i On nie powie – jedź tam, tysiące kilometrów, czy – błagaj. Bracie, tutaj możesz uzyskać to zwolnienie od tego dramatycznego ciężaru. Jaki to skarb, jakie to szczęście. A my jakże często jesteśmy niewdzięczni i traktujemy tę spowiedź świętą, ten sakrament pokuty czasami jako gradową burzę. Niektórzy mówią nawet, że spowiedź jest przeciwko naturze. Jakie to infantrylne. Przecież właśnie, kto przyłoży ucho do swojej natury, ten wie, że natura nas po prostu popycha do zwierzania się, do szukania przyjaciela, czy też lekarza, żeby móc się wypowiedzieć. Iluż ludzi spowiada się na łamach różnych czasopism, przygodnym przechodniom, czy pseudoterapeutom. Jakie to zgodne z naturą.

Inni mówią konfesjonał. No, konfesjonał, szafka. Macie rację, kochani, to szafka, ale broń Boże nie sprowadzajcie sakramentu pokuty do szafki. Ja nie twierdzę, że konfesjonały są niepotrzebne. One mają sens i mają cel w naszej strefie kulturowej. Ale równie dobrze możesz odbyć sakrament pokuty w drodze z Warszawy do Częstochowy, w tej pielgrzymce. Możesz na łące pod dębem, jak ci się podoba. Gdziekolwiek. Możesz.

A właściwie każdy chrześcijanin powinien spowiadać się kilka razy na dzień wtedy, gdy uświadomi sobie, że popełnił winę, grzech, od razu powinien wyspowiadać się Jezusowi. Bo to On odgrywa tutaj główną rolę. Nie szafka i nie ksiądz nawet, tylko On, drodzy przyjaciele.

Oczywiście, że w ten sposób ani przez chwilę nie myślę podważać powiedzmy tych form naszej spowiedzi. One będą się zmieniały w jakiejś mierze, ale istota pozostanie ta sama. Te konfesjonały się zmienią na pewno, nie pomniejszajmy Pana Boga, nie pomniejszajmy Chrystusa i nie pomniejszajmy Jego dzieł. A my skłonni jesteśmy właśnie pomniejszać. Najgorsze jest to, że niektórzy mówią – nie mam grzechów, nie mam się z czego spowiadać. Przyjaciele drodzy, wtedy to jest gorzej. Albo źle robicie rachunek sumienia, bardzo powierzchowny, dziecinny albo może macie, niestety, już trochę lub więcej spaczone sumienie.

Infantylny rachunek sumienia. Fakt, z którym się spotykamy: niegrzeczny byłem, paciorka nie odmawiałem, miałem brzydkie myśli, czasami nawet brzydko się bawiłem. Infantyizm! Oczywiście nie szydzimy z tego, to lepsze niż cokolwiek innego, niż absencja zupełna, ale przecież to jest minimalizm, przecież jakość człowieka, chrześcijanina, moralna jakość ujawnia się przede wszystkim w orientacji, w zasadniczej orientacji życiowej. Rozumiecie o co chodzi. Jakość moralna człowieka ujawnia się w hierarchii wartości. Tutaj, bracie, nie

ci popełniają najcięższe grzechy, którzy upadają na dobrej drodze, ale ci, którzy złą drogę wybrali. A my jesteśmy skłonni do tych infantylizmów.

Mieczysław Maliński w jednej ze swoich miniatur pisze: Wciąż istnieje niebezpieczeństwo, że my wychowujemy grzecznego, ulizanego człowieczka, spowiadającego się z opuszczonych paciorków i brzydkich myśli. Dodajmy do tego, czy nie zostałeś do dzisiaj właśnie takim grzecznym człowieczkiem. Bracie kochany, siostró kochana, jak z twoją trasą, z twoim kierunkiem, z twoją hierarchią wartości. Czy wybrałeś trasę według wskazań Ewangelii i sumienia? Dlaczego na przykład nie poszedłeś dotychczas w kierunku założenia rodziny? O, tu jest trasa, linia, dlaczego? Paciorek, o, nie szydę z tego, lepszy paciorek niż nic, ale dlaczego nie wybrałeś... dlaczego nie założyłeś?... Czy powiedzmy nawet poza kapłaństwem, czy poza zakonem, nie wybrałeś samotnego życia z poświęceniem w szpitalu, dzieciom w szkole, z poświęceniem w postaci pielęgnacji starców? Można wyżej, proszę bardzo, wyżej można...

A jeżeli założyłeś rodzinę. Czy spełniasz wezwania Stwórcy, by Twoja rodzina była np. liczna? Nawet kosztem samochodu, nawet czasami kosztem tych lśniących mebelków, wygod. A może, bracie kochany, rozłożyłeś się co najmniej w tych pragnieniach konsumpcji albo nawet „wielkiego żarcia”, jak mówi ks. Pasierb i może spowiadasz się tylko, że

paciorek, że niegrzeczny, żeś brzydko myślał, no, żeś opuścił raz Mszę św.?

Rozumiecie, drodzy przyjaciele? Byśmy się tu dobrze rozumieli. Rachunek sumienia a kotłownia. Tam i tu decydują się twoje losy jako istoty moralnej. Co rozumiem przez kotłownię? Sferę myśli, sferę woli, sferę motywacji. Jezus mówił: Nie to kazi człowieka, co wchodzi przez usta – tak apostołom klarował w sposób plastyczny – ale to co wychodzi z wewnątrz. Mówił tak: wszystkie złe myśli, cudzołóstwa, pomówienia, kradzieże, zabójstwa. To wszystko wylęga się najpierw w tej kotłowni przecież.

Pan Jezus powiedział Jeżeli ktoś tylko patrzy na kobietę, ażeby ją pożądał, a więc świadomie i dobrowolnie pożąda, to już cudzołożył. Jeżeli faktycznie nie cudzołożył, to może dlatego, że ona uciekła albo dlatego, że nie miał sposobności. Ale jeżeli już zdecydował się, już ułożył strategię, jak oto ją przyłapie, jak uwikła, to już przecież zrobił to. Taka jest etyka chrześcijańska, nie powierzchowna, nie jest rozłożona na łączce zielonej, na pastwisku, na którym odbijają się promienie. Nasza etyka jest głębinowa.

Etyka Pana Jezusa Chrystusa.

Otóż, trzeba wyjść od tej kotłowni w poglądy, motywy, w dobrowolne uczucia. Tak jak to zrobił bohater „Upadku” Alberta Camusa. W moim widzeniu to najlepszy rachunek sumienia. Bohater uważał się za wspaniałego człowieka, ale gdy pękł ten balon, który go otaczał, nagle ujrzał siebie nędznym

aktorem. Dojrzał, że jest w gruncie rzeczy, w głębinach, łajdakiem.

I oto, jeżeli to nie jest łatwe, to niechętnie to robimy. Jeżeli zagładniemy tam, do tej kotłowni, wtedy, bracie kochany – tak, też mogę siebie tam znaleźć. Widzę, że byłem bałwochwalcą, że wybierałem bogów cudzych, a więc wyższe wartości nad Pana Boga. I cudzołożyłem i dokonałem zabójstwa i uprawiałem egoizm, nawet podkarmałem go i byłem świętoszkiem, obłudnikiem. I byłem Harpagonem, tym skapcem skończonym, może. Może nawet Hitlerem i w ogóle łajdakiem, może. Tak jest, wszystko to możliwe. Taki jesteś jak twoje świadome poglądy, twoje oceny, twoje plany, twoje zamiary, twoja hierarchia wartości. Oto jest, drodzy, szkic rachunku sumienia człowieka dojrzałego, a nie problemy. „Mam problemy, mam kłopoty, leczcie mnie”

Drodzy przyjaciele! Jeszcze jedna uwaga. I właściwie do sakramentu pokuty chrześcijanin nie powinien iść po to, żeby uwolnić siebie tylko, zadowolić siebie.

Prawdziwy chrześcijanin przede wszystkim kieruje się motywem miłości. Obraziłem Ciebie, Panie. To mnie najbardziej boli. To nic, że tam gdzieś szarpie mnie jakiś ból fizyczny, to nic ostatecznie, że nie jestem rozumiany, że coś mnie nawet przygniata, ale że Ciebie obraziłem! Ten motyw powinien dominować w chrześcijańskim sakramencie pokuty, w chrześcijańskiej spowiedzi.

Ale, bracie drogi, może zająć przypadek spaczono-  
nego sumienia przez wychowanie rodziców bądź  
w dobrej czasem wierze działające babcie. Ale  
możemy też sami spaczyć swoje sumienie wtedy,  
gdy postępujemy wbrew Niemu, niezgodnie z Nim.  
Kapitałny aforyzm ukuł Tomasz Merton, jeden  
z wielkich pisarzy humanistów chrześcijańskich:  
Jeżeli nie postępujesz jak myślisz, zaczniesz myśleć  
tak jak postępujesz. To jest przeklęte prawo, jeżeli  
nie postępujesz tak jak myślisz, a przynajmniej nie  
starasz się postępować tak jak myślisz, zaczniesz  
myśleć tak jak postępujesz. Dorobisz pantoflową  
filozofię do swego postępowania. Jakże wielu zostało  
spętanych tym nieszczęsnym prawem.

Niektórzy wasi koledzy i koleżanki z pewnych  
względów gdzieś tam się zapisali, do jakiejś grupy  
się przyłączyli, gdzieś tam jakąś deklarację złożyli  
i tak dalej. Oczywiście nie mieli zamiaru wyrzekać  
się Kościoła, chrześcijaństwa, Ewangelii, ale gdzieś  
tam zamierzali nawet coś dobrego zrobić. Ale gdy  
zaczęto przyśrubowywać powoli – nagle: to tu nie  
wypada, tam nie wypada, nie będę demonstrować.  
Proszę zauważyć, sukcesywnie umierają, stopniowo  
przychodzi śmierć...

Ileż to spaczonych sumień wśród naszych braci  
chrześcijan. Nawet wśród naszych babć, teściowych,  
teściów, wśród koleżanek waszych i kolegów, którzy  
odmawiają paciorki, którzy chodzą nawet na Mszę  
św....



Chłopiec spowiada się, że był nieposłuszny rodzicom, ale z tego, że nakłaniał, nawet szantażował swoją narzeczoną do współżycia przed ślubem, z tego się nie spowiada, bo uważa, że mu wolno, bo „my się kochamy”. Spaczone sumienie.

Babcia czy teściowa paciorki odmawiają, chodzą do kościoła, nawet na drogę krzyżową, a gdy synowa mówi, że trzecie dziecko w drodze, unosi się gniewem. Straszliwie spaczone sumienie.

Albo duszpasterz, który mówi studentce w obecności jej mamy, że nie wypada, aby na wczasy jechała sama ze swoją sympatią. I tłumaczy, że chociaż są dobrymi chrześcijanami, choć są mocni, to przyjdą napięcia, które będą niepokoily, będą szarpały nerwy, będą ich zubożały, a nawet zagrażały ich miłości. (Jest to fakt bezsporny, naprawdę tak jest). A mama na to: O, proszę księdza, to przecież dzisiaj taka moda. Moda! Dla mamy, która uczęszcza na Mszę św., która składa wyznanie wiary Wierzę w Jezusa Chrystusa, dla niej moda jest bożyszczem, najwyższą instancją. I niestety, drodzy przyjaciele, jest bardzo wielu takich, dla których bożyszczem jest moda. Spaczone sumienia.

## VI. WIERNOŚĆ I KRZY

### WPROWADZENIE

Bóg jest wierny. Wierny jest Bóg. Wspaniałe słowo – wierny, tzn. można na Nim polegać. To znaczy nie cofa się, nie zawraca, nie rozwiązuje swego przymierza. Jest wierny. Wierny w swej miłości, dodajmy jeszcze. Widzimy tę wierność Boga w odbiciu, w Osobie Pana Jezusa. On też jest wierny i nie rozwiązuje swoich przyrzeczeń, nie cofa się. Wierna była również Jego Matka. Panna wierna i Matka wierna. Co powiedziała, to było święte, gdzie skierowała swe kroki tą dobrą drogą, już nie zawracała. Żadne warunki ani okoliczności już nie zawróciły jej z tej wiernej drogi. Boże, jakie to piękne. Dom zbudowany na skale. Wiara na skale. Moja nadzieja na skale. Wszystko i moja miłość na skale. Mogę być niewierny i bywam niewierny, ale On był, jest i pozostanie wierny. I w swoich działaniach nie zawraca. Oto, z oporami, z trudnościami, z walką Pan Jezus przeszedł do tej obietnicy, do tej

deklaracji Nie moja wola, ale Twoja Wola, Ojczy, niech się stanie. Twoja wola i gdy wyrzekł te słowa, a wyrzekł je też znacznie wcześniej, już się nie wycofał. Cokolwiek Jezus czyni, już się nie cofa. Jakie to wspaniałe nieodwracalne, coś bezwzględne, absolutnego.

Moi przyjaciele, na tle tego, co widzimy w Bogu i Panu naszym, jakże nędznie my wyglądamy. Podejmujemy czasem deklaracje dość pochopnie, dość szybko, najczęściej pod wpływem emocji, a potem, gdy zmieniają się warunki, opadną emocje i umowę rozwiązujemy, o przyrzeczeniu zapominamy, niewierni jesteśmy. I ten powiew niewierności jest szczególnie w naszych czasach. Nie gloryfikujemy dawnych czasów i nie kontrastujemy z naszymi.

Bądźmy pewni, że dużo jest niewierności. Proszę zauważyć ile rozwodów. A przecież ci ludzie, chrześcijanie, nie tylko deklaracje składali, składali przysięgę Bogu, iż nie opuszczą się aż do śmierci. A teraz rozmawiam z adwokatami, czy z sędziami, którzy przeprowadzają tzw. rozwody państwowe, mówią, co się dzieje z tymi chrześcijanami, że w ogóle ta przysięga wierności nie funkcjonuje, nie jest obecna w motywacji zmierzającej do rozerwania małżeństwa. A przecież 2/3 podejmowanych rozwodów to przecież rozwody chrześcijan, że ona taka, że on taki, że warunki się zmieniły, że tamto, że przedstawił się inaczej – różne motywy, różne czynniki. A czy któregoś, czy któremu przyszło na myśl, że

przecież składałem przysięgę, iż cię nie opuszczę aż do śmierci, to w ogóle nie wchodzi w rachubę?

Drodzy przyjaciele, to jest symptom naszych czasów. To jest straszny symptom. Albo w ogóle psychologowie, wychowawcy i my duszpasterze nie zauważamy, że ludzie nie chcą podejmować decyzji nieodwracalnej, decyzji na stałe, na zawsze. Choćby nawet, gdy idzie o miłość. Przecież, jak rozważaliśmy, w istocie ta dojrzała miłość jest trudna, a więc młodzi przecież wolą flirt niż miłość i mimo pozorów uciekają od miłości, bo miłość angażuje, niepokoi, jest trudna. Wolą poflirtować, wolą tę grę niż inną, jak to niektórzy wyrażają. A jeżeli i oni idą do małżeństwa, to już z tą myślą, że może jak będzie dobrze, to w porządku, a jeśli będzie źle, to ostatecznie się rozejdziemy. Proszę, cóż, gdy w samym punkcie wyjścia już rozluźnienie.

Analogicznie, obserwuje to, rzecz się ma nawet w seminariach, że i tu młodzi alumni, idący do święceń, również są skłonni mówić – no, jak będzie mi dobrze w kapłaństwie, to ja wtedy zostanę, a jeżeli źle, to odejdę. Także boją się nieodwracalnych decyzji. Dotyczy to także zakonów, czy zgromadzeń zakonnych itp.

Dotyczy to w jeszcze większym zakresie innych stosunków międzyludzkich, gdzie również powinny zapadać decyzje czasami wręcz nieodwracalne.

Drodzy przyjaciele, a przecież to jest ogromne zubożenie. Abstrahując od obrazy Boskiej, zubożenie życia, to jest wprowadzenie siebie i społeczeń-

stwa na płaszczyznę relatywizmu, tego bagniska, gdzie nie ma trwałego punktu oparcia. I przez to brak przecież wielkodusznej miłości w stosunku do Pana Boga i do człowieka. Wielkoduszna miłość na stos rzuca swój życia los, tzn. swoją wolę. Jeżeli ktoś wobec Pana Boga zadeklaruje swoją nieodwracalną decyzję, to chwala Bogu, to jest właśnie zaufanie, to jest miłość.

Właśnie takie słowo, taką deklarację złożył Pan Jezus w Ogrójcu.

Przed nim jeszcze u świtu Nowego Testamentu taką deklarację złożyła Ta, która powiedziała Oto ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie według Słowa Twego. Nie odwołała tego. Była wierna, aż do krzyża. Była wierna Panna wierna, Matka wierna.

## **WIERNOŚĆ I KRZYŻ**

Mam w Bogu nadzieję i przekonanie, że wszyscy jesteśmy w stanie permanentnej modlitwy i stąd też nie formułujemy na początku naszego rozważania żadnych słów i zadań do Pana.

Czy zauważyliście, że opis męki Jezusa, a więc czas niespełna doby, obejmuje 1/4 objętości każdej księgi Ewangelii. Trzy lata działalności Jezusa na rzecz właściwie jednej doby, czyli 1/4 tekstu. To jest zastanawiające. Należy z tego wnioskować, że tak widzieli Ewangelisci, że w tej dobie nastąpiły szczytowe wydarzenia z dziejów Odkupienia, że tutaj

przyszła jakby synteza całości, całego życia, całej działalności Jezusa, że tutaj ukazała się w pełni głębia. Głębia także i szkoły, szkoły Jezusa. Gdybyśmy nawet nie znali tego, co poprzedzało te szczytowe wydarzenia, to już wystarczyłoby chrześcijanom tematów do myślenia, do przeżywania, a przede wszystkim wystarczyłoby tej ofiary Jezusa, którą w tych godzinach podjął.

W tym okresie, kiedy Krzyż występuje na pierwszy plan rozważań, może jakiś refleks, może jakiś odblask znajdujemy w tym zwyczaju, który wprowadziło się we wszystkich cywilizowanych krajach, że człowieka zmarłego pokrywa się jakąś płachtą, jakimś kocem, w niektórych wypadkach prześcieradłem. Majestat śmierci, chociaż mogą tutaj przyświecać inne intencje. Może po prostu człowiek współczesny obawia się spojrzeć prawdzie w oczy. Może i jeżeli tak, to wtedy ludzie obojętnieją na tę prawdę i wtedy zachodzi pytanie, czy warto dzisiaj podnosić ten kir z naszych krzyży, czy warto zwrócić wzrok swój na zmasakrowaną twarz Jezusa i na zmasakrowaną Jego postać fizyczną. Czy warto? Może i warto, żebyśmy nie zobojętnieli znów, nie pomniejszyli Najświętszej Ofiary Jezusa.

A skłonni jesteśmy, jesteśmy magikami od pomniejszania wszystkiego, a że zobojętnienie przyszło w patrzeniu na Krzyż, to fakt bezsporny. Ten fakt widzą nawet niektórzy deklarujący się jako wyznawcy innej religii jako ateści. Czytałem kiedyś felieton Hamiltona, zamieszczony w „Kulturze”

zatytułowany „Mała złota szubienica”. Otóż autor zwraca uwagę nam, chrześcijanom, że my z Krzyża, z krzyży, porobiliśmy amulety, wyprodukowaliśmy całe tony biżuterii, te złote i srebrne krzyżyki, stopy dekoracji. Dzisiaj przecież spotykamy się z pytaniami, czy ten krzyż pasuje do tych mebli, do nowego pokoju, czy też nie pasuje. I to mówią chrześcijanie. I przychodzi zobojętnienie...

W 1977 roku bawił tutaj, we Wrocławiu, teatr Dejмка z Łodzi. Wtedy wystawiono sztukę pt. Męka Pana Jezusa Chrystusa, średniowieczne misterium. Byłem na tym. Przeżywałem. Ślicznie wystawiono. Ale co mną wstrząsnęło. Otóż tam pokazano scenę przybijania do Krzyża, oczywiście, przybijano tam nie człowieka tylko figurę. Ale wtedy kaci chwycili za młoty, zaczęli walić po gwoździach, wbijając je w stopy i ręce tego wyobrażenia Chrystusa. Na sali nastąpiła stężona i taka głęboka cisza. Wszyscy byli przejęci. Słyszać było drętwe uderzenia młotów wolno wbijających te gwoździe i cisza, cisza. Pomyślałem sobie, Boże mój, jeżeli w sztuce, w teatrze, ludzie tak przeżywają, to jakby przeżywali rzeczywiste przybijanie Jezusa do krzyża. A jeżeli nie przeżywają tego, patrząc na te figurki tak rozmnożone w naszym kościele, to dlatego, że mają przytępiony słuch, mają przytępiony wzrok, zobojętnieli po prostu, zamknęli się na to. I cóż, może wtedy nawet będzie i dla nas trochę dramatyczną, a może też i jakąś pożyteczną rzeczą, może nas obudzi z tej obojętności, gdy przeczytamy kilka zdań reportażu

jednego z amerykańskich pisarzy. Pisze on: Oprawca wziął w zęby dwa pięciocalowe gwoździe i z młotkiem w ręce klęknął przy prawym ramieniu więźnia. Zbadał przegub ręki Jezusa, by odszukać małe wgłębienie. Gdy odnalazł, jeden z ukośnie przyciętych gwoździ włożył go do wgłębienia przegubu, leżącego przy końcu tzw. linii życia. Podniósł młotek i silnie uderzył w główkę gwoździa. Przy krzyżowaniu zazwyczaj prawą nogę przybijano na lewą i to była najtrudniejsza część roboty – Hemingway’owski styl, proste aż prostackie, ale realistyczne. I to była najtrudniejsza część roboty. Jeżeli nogi zostały mocno naciągnięte i przygwożdżone do nasady krzyża, to więzień z reguły umierał szybko. Z czasem nauczyli się Rzymianie przytwierdzać nogi skazańca trochę wyżej tak, że mógł się on nieco unieść, opierając się na gwoździach. Jezus został ukrzyżowany. Głowa Jego opadła dotykając piersi, następnie w przystępie gwałtownych spazmów rzucał ją z jednego ramienia na drugie. Patrzył wprost na słońce. Poruszał wargami. Kiedy ciało zawisło ze zmęczenia, Jego ciężar zawisł na gwoździach tkwiących w przegubach rąk. Jego kolana wygięły się mocno ku przodowi. Jego ręce teraz przybrały kształt litery „V”. Jezus czuł straszny ból w przegubach rąk, czuł jak skurcze obejmują Jego ramiona i barki. Uświadomił sobie, że mięśnie tektoralne uległy chwilowemu sparaliżowaniu. To wywołało uczucie lęku i o ile skazany mógł wcisnąć powietrze do płuc, o tyle nie mógł go wypuścić. Jezus uniósł



się na stopach, ciężar ciała przeniósł na stopy, gwóźdź uciskał brzeg rany. Wciągał się powoli, przez chwilę głowa zasłoniła tabliczkę z napisem. Gdy ramiona znalazły się na poziomie rąk, oddychanie stało się łatwiejsze. Potem, nie mogąc znieść bólu, który powodował skurcze nóg, opuszczał się coraz niżej, uginając je w kolanach, aż odczuł, że wisi na rękach. I ten ruch powtarzał się raz po raz aż do skonania. Działo się to w roku 784 ab urbe condita albo w 30 według nowego kalendarza.

Może nasza wyobraźnia zostanie przez to trochę zapłodniona, ażebyśmy wyszli z tej niebezpiecznej, bardzo złej, obojętności. Jeżeli dodamy do tego reportażu tło, ujrzymy słońce rzucające krwawe promienie i zamglone przez chmury krwawo fioletowe błyski. Jeżeli teraz usłyszymy jeszcze pomruk zbliżającej się burzy, jeżeli ujrzymy błyskawice, jeżeli ujrzymy zapadającą ciemność – widok straszny. Konał Ten, który przemawiał jako władzę mający. Konał Ten, który uciszał burzę, który mówił o sobie Jestem Synem Bożym. Ja i Ojciec jedno jesteśmy. Konał. Konał w straszliwej niemocy, bo nawet w tej straszliwej, niesamowitej scenerii uniósł się głos Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił. A więc u dna cierpienia moralnego traci świadomość Boże, czemuś mnie opuścił. Musiało się straszliwie roznieść po całej okolicy to zdanie. A u dołu szydercy patrzą, szyderstwa tłumu, katów, oprawców. Klęska. Katastrofa, chyba to wszystko było złudzeniem.

Oto klimat psychologiczny, który tam ogarnął stojących, nawet apostołów. I Ona jedna. Jedna pozostała wierna z apostołem Janem i jeszcze paroma kobietami.

Gdyby ten Wielki Piątek zakończył ten dramat, nie byłby Wielkim Piątkiem, byłby piątkiem straszliwej klęski, piątkiem – katastrofą tych ludzi, którzy mu zawierzyli. Ale ten piątek stał się Wielkim, dzięki porankowi Wielkiej Niedzieli. Teraz jako tako rozumiemy, nie do głębi, nigdy do głębi, ale w świetle Wielkiej Niedzieli triumfu Jezusa. Teraz rozumiemy, że to nie była klęska, nie była to katastrofa, że przeciwnie, było zwycięstwo, wielkie zwycięstwo. Było to ostatnie słowo Jezusa, słowo Ewangelii, wypowiedziane pełnym głosem właśnie na Kalwarii. Ostatnie słowo wierności temu wszystkiemu, co Jezus nauczał i czego preludium już nam poprzednio pokazał, przedstawił, wyśpiewał.

Tutaj następną Ekspiacją, wielką Transfuzją, Tajemnicą Odkupienia. Boże, rzucamy te słowa, a jakże mało je rozumiemy, jak mało je ogarniamy. Jak mała jest pojemność naszego serca, umysłu w stosunku do tego ogromu Tajemnicy. Krzyż to także i nauka dla wyznawców Jezusa, szkoła wyznawców Jezusa. Ten Krzyż mówi po wszystkie wieki, jak straszny jest grzech.

Proszę spojrzeć jeszcze raz na zmasakrowaną twarz Jezusa. Mówi ta Twarz, jak straszny jest grzech. I ta zmasakrowana twarz mówi, jak wielka jest miłość Boga do człowieka. Gdyby nie miłość, po

co by poszedł dobrowolnie na tę szubienicę. Św. Paweł powie: żebyście wiedzieli, za jaką cenę jesteście odkupieni. Za jaką cenę? I rzeczywiście, kto z chrześcijan popatrzy na Krzyż gdziekolwiek, jeżeli zatrzyma swój wzrok nie na figurce, nie na biżuterii, nie na dekoracji, tylko na tym rzeczywistym wydarzeniu, chyba odczyta przynajmniej te dwa słowa: patrz człowieku, jak straszny jest grzech, patrz, jak wielka jest nieogarniona Miłość. Jezus mówi, że każdy z Jego naśladowców, z Jego wyznawców powinien nieść Krzyż, coś z tego Krzyża Jezusowego: Jeżeli kto chce iść za mną niech się zaprzecze samemu sobie, weźmie krzyż na każdy dzień i naśladuje mnie. Otóż, jeżeli postawić na tej zasadzie tezę, że nie ma chrześcijaństwa bez krzyża – to i nie ma chrześcijanina bez krzyża. Chrześcijanin, który uciekał od krzyża, to nie był chrześcijanin.

No cóż. To jak się ustosunkować do krzyża nieuniknionego, do tych cierpień, do tych różnych niepokojów, porażek, jakie ponosimy na tym świecie, jak? Daleko nie uciekniesz, bracie, to niewiele pomoże. Cóż się więc buntować, zdeptać jeszcze gorzej, bo jeszcze bardziej się pograżysz, jeszcze bardziej będziesz odczuwał ciężar. Cóż czynić? Przyjąć. Przyjąć z Jezusem. Powiedzieć krzyżowi, znamy się od dawna, od kolebki. I wobec tego pozwól, że będziemy szli z sobą razem, jak przyjaciele. Przyjąć krzyż z Jezusem, do Niego pójść i z Nim połączyć swój krzyż i za Nim pójść. Myślicie, że to utopia? Nie. Dziwne rzeczy zaczynają się wtedy dziać,

dziwne cuda. Ludzie połamani, przykuci do łoża boleści stają się szczęśliwi.

Kilka lat temu u sióstr nazaretanek tu, we Wrocławiu, przy ulicy Św. Marcina 10, leżał taki młody paralytyk. Jeszcze wtedy byłem kapłanem tego domu, gdy po kilku dniach pobytu, gdy się wyspowiadał, gdy zaczął przyjmować komunię św., bardzo cierpiał i ja mu wtedy powiedziałem, bracie, nie-  
szczęśliwy jesteś. A on się zachnął, z trudem mówił: proszę księdza, ja cierpię, ale jestem szczęśliwy. Powiedziałem, że tym więcej mam szacunku dla pana i tym więcej podziwiam pana, mówił wtedy: jestem szczęśliwy odkąd połączyłem swój krzyż z Krzyżem Jezusa. On mówił, że jest szczęśliwy! I po paru latach umiera. Spowiadałem go również na tę wieczną drogę i jeszcze raz powtórzył to – jestem szczęśliwy!

Wspominam często, bo jestem pod wrażeniem Denis Legrix, dziewczyny, która urodziła się bez rąk i nóg, która w dramatycznej walce z sobą, z otoczeniem, osiągnęła bogatą osobowość. Jest wykształconą dziewczyną, pisarką, malarką, hafciarką i działaczką społeczną na osi Paryż – Nowy York. Ileż pogody, ileż radości u tej dziewczyny, że nawet ludzie zdrowi przychodzili, aby tylko pobyc z nią choćby chwilę, aby napromieniować się tą radością, pogodą. Była szczęśliwa!

Albo bohaterka pamiętnika „Słońce świeci dla wszystkich”, studentka III roku medycyny. W 23 roku życia złamana chorobą Heinego-Medina. Poła-

mana, sparaliżowana tak dalece, że nie zostały naruszone tylko mięśnie szyi, głowy i jednego palca. Musiano sporządzić specjalny gorset, specjalny aparat, w którym musiała przebywać przez cały czas. Gdyby go zdjęto, zabrakłoby jej tchu i umarłaby natychmiast. Tłumacz tej książki, profesor Akademii Medycznej we Wrocławiu, we wstępie napisał, że dlatego ją tłumaczył, gdyż nie spotkał w swoim życiu tak pogodnej dziewczyny, jak Denis. Była szczęśliwsza niż zdrowi ludzie. A więc, czy to fałsz, co Mickiewicz napisał: Uszło szczęście i próżno za nim chodzę. Nie uszło, ono cię czeka na krzyżowej drodze, tylko oczywiście na krzyżowej drodze Pana naszego Jezusa Chrystusa. Jeżeli byś poszedł na inną krzyżową drogę, to byś był złamany, zgnieciony, spłaszczony. Taki jest Jezusowy Krzyż, taka jego wymowa, treść i szkoła.

Boże, jak małośmy powiedzieli. Przyjdzie ostatni krzyż, dla nas najcięższy. Nikt tego nie uniknie. Gdy uświadomimy sobie, że wieko podniesione dotychczas nad nami i leżącymi na łożu boleści zaczyna się pochylać, pochylać, aż zamknie się.

A więc uświadamiamy sobie wreszcie. Tyle czytaliśmy, słuchaliśmy piosenek, koncertów. Tylu ludzi poznaliśmy, twarzy pedagogów, lekarzy, pisarzy, myślicieli i filozofów. Boże, chodźcie tutaj, pomóżcie mi, powiedzcie. Nawet jeśli lekarze stoją, jeśli najbliżsi krewni stoją, widzimy jacy są bezradni. A co mają powiedzieć? I wtedy Foerster mówi tak: Cichy, milczący krzyżu. Jakże nieskończenie

wiele umiesz nam powiedzieć, jak dogłębnie poczynasz nas uczyć wówczas, gdy milkną już wszyscy mędrzy i wszyscy nauczyciele, a wszelka mądrość najmądrzejszych staje bezradna u swego kresu. Wtedy Ty, Krzyżu, przemawiasz. I chyba tak to widział Wyspiański, gdy mówił: Ach, któryż jestem ten żywy, czy ten co leci wzwyż, czy ten co zmarł szczęśliwy ściskając w dłoni krzyż.

Boże, jacy jesteśmy szczęśliwi, dzięki Twojemu krzyżowi. Jesteśmy wtedy zdolni nieść krzyż na co dzień. I ten krzyż może rodzić kwiaty w naszym życiu, może nas wyciszać, uspokajać.

Resztę dopowiemy sobie idąc śladami wyobraźni swojej, śladami Jego Męki, a naszego zbawienia, idąc ścieżką tej Najwyższej Szkoły Życia, Umierania i Szkoły Zbawienia...

## VII. PODSUMOWANIE

Przyjaciele drodzy. Przeżyliśmy te spotkania, te dni można powiedzieć wielkiej rewizji życia albo też mówiliśmy i o przeglądzie naszych mechanizmów duchowych, psychicznych. Można byłoby to nazwać i badaniem tego organizmu duchowego. Można by mówić i mówiliśmy za profesorem Dąbrowskim o dezintegracji, o jakimś kruszeniu, o rozkładaniu po to, ażeby złożyć, scalić – ale już na wyższym poziomie. W ramach tej dezintegracji pozytywnej zakwestionowaliśmy wiele naszych wewnętrznych pojęć, postaw, relacji, stosunków. Zakwestionowaliśmy, można by powiedzieć, korzenie naszego życia wewnętrznego. Obserwowaliśmy, czy tam nie zaszły jakieś deformacje, narodziła jakieś, jakieś wynaturzenia. Oto skontrolowaliśmy swoją wiarę, czy nie pomniejszaliśmy Pana Boga w ramach naszej wiary. Skontrolowaliśmy nasz stosunek do Jezusa, do Chrystusa. Skontrolowaliśmy i kwestionowaliśmy naszą wizję sensu i celu życia. Pytaliśmy jaką posiadamy miłość, ile tej miłości, jaka jest prawdziwa

miłość. Sięgaliśmy dość głęboko, pytając o elementy antymiłości, o grzech, który się mógł wdzierać do naszych serc, do naszych dusz. Pytaliśmy, czy czasami nawet w nas nie wyzwolił się jakiś „idiota”, mówiąc językiem Dostojewskiego.

Czy nie narodził się tam jakiś zbrodniarz, a może narodził się jakiś „bies”, zły duch bliski opętania. Wszystko to możliwe. Różne deformacje są możliwe w człowieku. Otóż wszystko to staraliśmy się obejrzeć, zakwestionować, postawić pod światło, pod rentgen Ewangelii. I odpowiadaliśmy tak, jak umieliśmy i chcieliśmy. Może już osiągnęliśmy, dzięki Jego łasce, kształt naszego ducha, bo być może ten kształt był zdeformowany, zeszpecony, może już nawet Oblicze Boże w nas było jakieś zabrudzone, zakurzone, może już nawet przeorane. I staraliśmy się to Oblicze Boże oczyścić w sobie, odnowić. I leczyliśmy się, aby w niektórych z nas nastąpiła reanimacja, powrót do życia. To wszystko mogło być i mogło nie być. W naszym osobistym działaniu i słuchaniu, przeżywaniu mogło nie być, ale mogło być, może nawet może coś więcej, na pewno więcej niż te słowa mówią. Przeżyliśmy jednym słowem wielkie godziny i za to niech będą Bogu dzięki i gratulacje wam, drodzy przyjaciele.

Ale teraz, jak zwykle, a przynajmniej jak często, pytanie – jak zachować te wartości, jak nie pomniejszać tego Pana Boga i tego Jezusa, i tego konfesjonału, tej spowiedzi? Jak zachować to zdrowie, tę twarz człowieka, która jest odbiciem twarzy Boga.



Jak – drodzy przyjaciele, wy to wszystko wiecie. Tylko przypomnijmy sobie podstawowe, zasadnicze prawo. Niektórzy mówią: przekłete prawo, ale w gruncie rzeczy to błogosławione prawo. Mianowicie, dokonawszy wyboru na zawsze, jak mówił Libert, co dzień wybierać muszę. A więc, dokonawszy nawrotu do Boga, po wybraniu Jezusa, w czasie tych rekolekcji, specjalnie wybrani, znów przecież możemy go zdradzić jeszcze dzisiaj, jak Judasz (tego samego wieczoru już Go zdradził).

I my też możemy, więc trzeba wybierać co dzień, nawet co godzinę, czasami nawet co chwilę. Wybierać, na nowo wybierać, na nowo podejmować decyzję. Twarde prawo, ale prawo to jest prawo. I błogosławione. Ono nie pozwala nam stać się stawem zarośniętym glonami. Ono nie pozwala, żeby w nas tworzyło się zatechłe bajorko. Wciąż ruch, wciąż wybór, wciąż decyzja. My skłonni jesteśmy do postawy, czy do swojego rodzaju zabawy bohaterów książki Nowakowskiego „Przylądek dobrej nadziei”. Trzej chłopcy, urwisy, codziennie musieli coś spsościć. Kto czytał, to przypomina sobie tę zabawną scenę. Któregoś popołudnia, czy wieczoru, mama zauważyła, że coś za długo się modlą, o wiele za długo. Przyszła do nich i pyta, co to takiego. A Bolek, najstarszy, mówi: Mamusiu, myśmy wpadli na taki pomysł, żeby dzisiaj odmówić wszystkie paciorki na cały tydzień. A więc odmówiliśmy 7 razy Ojcze nasz, 7 razy Zdrowaś Maryjo i teraz odmawiamy, już któryś raz, Wierzę w Boga. Mama się uśmiechnęła,

bo była dobrą wychowawczynią i powiedziała: No, dzieci drogie, tak nie idzie. Niestety, to nie ważne, trzeba od początku. Każdego dnia. Chłopcy byli zasmuceni, że na próżno tyle czasu stracili.

Drodzy, my jesteśmy skłonni również do takiej postawy. Naraz dużo, wiele, a nawet bardzo wiele na zapas. A potem, Niestety, często wchodzimy w strefę bierności, marazmu, zastoju.

Drugie prawo. Orientacja na maksymalizm. Co to znaczy na maksymalizm? Więcej, wyżej, dalej, w głąb. Nigdy na miejscu. Nigdy przekłete dość. Nie defensywa lecz ofensywa. Drodzy, a my jesteśmy skłonni iść ku minimalizmowi. My duszpasterze wciąż broniliśmy ludzi przed grzechem. Tu grzech, tam grzech, nie żyć w grzechu, nie popełniać grzechu, nie i nie, i nie. Co to za metody? Oczywiście minimalistyczne. I ta metoda rzeczywiście prowadzi do frustracji, do zniechęcenia. Wciąż bronimy się przed grzechem.

Już rozumiecie, przyjaciele drodzy, o co chodzi. A przecież chrześcijanin powinien iść w głąb „królestwa Boga”, w głąb obszaru wartości, w głąb obszaru dobra. Jeżeli kluczysz po granicy czeskiej czy radzieckiej, to oczywiście będziesz wciąż natrafiał na te granice i słupy graniczne. I tu nie wolno i tam nie wolno, i tu mogą cię zaaresztować, i tam. I powiesz, do licha jasnego przecież, jaki jestem skrupowany i znudzi ci się, nie będziesz chciał chodzić po tej przestrzeni. Ale po co chodzisz tam, po tej przestrzeni, gdy Polska taka duża. Wejść w głąb

naszego kraju. Kraż koło Warszawy albo gdzieś tam dalej, w każdym razie nie po samej granicy. Ile odkryjesz ciekawych wartości, ile krajobrazów, ile piękna, ile przygód przeżyjesz, jaki będziesz ubogacony, uszczęśliwiony. I wtedy powiesz, Boże, jaka to Polska wielka, jaki to wielki kraj, jej granicy w ogóle nie odczuwam.

Prawda, drodzy przyjaciele, tak byłoby, gdybyśmy odeszli od tej linii demarkacyjnej grzechu ciężkiego, czy w ogóle grzechu. Żebyśmy poszli za wezwaniem Jezusa: Bądźcie doskonali, jak i Ojciec Wasz Niebieski doskonały jest. Dość z tym minimalizmem! W głąb! Więcej miłości, więcej wiary, więcej wiedzy, więcej tej życzliwości dla ludzi, więcej, więcej, wyżej, dalej w głąb, coraz dalej.

Drodzy, jakie przeżywalibyśmy przygody! Ech, nieraz by nam zapierało dech, widząc wspaniałe widoki postępu ku Panu Bogu, ku Tej Najwyższej Doskonałości. A my kluczymy w defensywie. I wtedy coś się dzieje. Mała wiara, ćwierć wiary, przepraszam, że wierzę. Niektórzy się tym zadowalają.

Mała wiedza religijna. No, wystarczy katechizm... Ja przecież o tym trochę wiem...

Mała miłość. No, przecież ostatecznie grzechu ciężkiego nie popełniam...

Mała rodzina. No, jedno, dwoje dzieci – to wystarczy...

Mała grupka w duszpasterstwie. Gdzieś trzy, pięć osób – to jest wystarczające...

Mała wierność. Trochę dotrzymuję słowa. Dałem słowo tam, to dam ostatecznie zawsze i wszędzie...

I, drodzy przyjaciele, taki minimalizm prowadzi oczywiście do konformizmu, do tzw. małej stabilizacji. Mały świątek, wszystko małe, jak nasze małe pokoiki – mała stabilizacja. Mieszkańska przeciętność, dławiąca przeciętność. Jakże wielu spośród was, chrześcijan, po prostu nie tylko zadowala się, ale nawet uprawia ideologię przeciętności. Po co masz się wysilać, po co masz być bardziej pobożny? Po co tam chodzisz do duszpasterstwa, po co do kościoła, po co latacie, po co to Pismo św., czy po co jeszcze to czytanie.

Niektórzy katolicy, którzy raz na rok, a może dwa razy w roku, przystępują do komunii św.. Chodzą na mszę św. w niedzielę i dosyć, po co dokuczać Panu Bogu?...

Otóż wtedy mamy do czynienia z tymi zwyczajnymi ludźmi, których Mickiewicz widział w „Konradzie Wallenrodzie”. I pisał. I napisał: Ludzie zwyczajni to jako konchy, co się w bagnie tają. Ledwo raz na rok falą niepogody wypchnięte, z mętnej ukażą się wody, otworzą usta, westchną ku niebu i znowu wrócą do swego pogrzebu. Tak. Oni się wypowiadają, nawet się wzruszą i znów do przeciętności.

Kochani, a my, a wy, nieprzeciętni, przyjaciele drodzy, to nie znaczy lepsi. My, nieprzeciętni, niezwyczajni, my powołani do poszczególnych zadań przez Jezusa Chrystusa. Czujecie, po to tu przyszli-

ście na rekolekcje. Jesteście tu zaproszeni, wezwani. Powołani jesteście do czegoś wyższego; Bądźcie doskonali, jak i Ojciec wasz doskonały jest. Jesteście powołani do ewangelizacji i do realizacji miłości w sobie, w rodzinie, w swoim środowisku na swojej uczelni, w swojej grupie, na swojej stacji, w swoim pokoju. Ale jesteśmy też i powołani jako zwyczajni ludzie do ewangelizacji w całym kraju. I kraj nasz cały musi nas obchodzić. Jesteśmy wezwani, byśmy byli solą ziemi i światłością świata. My jesteśmy dla świata powołani, bo nie ma dzisiaj wysp zupełnie izolowanych, dzisiaj świat staje się coraz większą jednością. Jesteśmy powołani do realizacji zadań Kościoła Powszechnego, Jesteśmy powołani do apostołstwa. Tak, jesteśmy powołani i dlatego nie jesteśmy zwyczajni.

A więc dlatego nie wolno nam ugrząźć w przeciwności, jeżeli do tego mieliśmy inklinacje, jeżeli stwierdziliśmy, że nachylamy się ku tej małej stabilizacji. A my, Polacy, w ogóle dzisiaj mamy szczególne zadanie, domyślcie się zapewne – jakie.

Oto epokowe zdarzenie. Nie będziemy na ten temat długo mówić, ale przeżywamy to nadal; i zupełnie słusznie mamy racje ku temu. Epokowe wydarzenie. Nie jesteśmy w stanie tego objać, że nasz rodak został Ojcem św. na Stolicy Apostolskiej, że jest dziś uszanowany, a nawet kochany przez cały świat, że jest słuchany przez cały świat. Cóż, „Noblesse oblige” wyszedł z naszego narodu. A więc świat dzisiaj patrzy nie tylko na Ojca św., chce

przyjrzeć się bliżej także i nam i narodowi, z którego On wyszedł. Chcą nas poznać niejako od wewnątrz i to jest niepokojące, bo od wewnątrz tamci nasi bracia, którzy chcą się od nas uczyć, to co dostrzegą? Bądźmy szczerzy, wiemy jak wewnątrz jest niewesoło. Prawda, że okazaliśmy moc i siłę jako naród, przeciwstawiając się temu ciśnieniu, nawet tej dramatycznej inwazji, tego totalnego ateizmu. Przeciwstawiliśmy się na ogół, to dzięki Bogu. Ale ta strefa moralna...

Nie zapomnę tego pastora z Oslo przed kilku laty na zjeździe duszpasterzy akademickich. Kilka godzin z nim rozmawiałem w autokarze, po drodze. Pytał o pewne rzeczy. Dużo dobrego słyszał o naszym kraju. Między innymi spytał jak jest z poszanowaniem dzieci nienarodzonych. Zawahałem się, no i wreszcie powiedziałem, ale przedstawiłem mu zaniżoną liczbę dzieci zamordowanych. On się zachnął, zdziwił. Spuściłem głowę, bardzo mi było ciężko. Pastor z Oslo (Norwegia), powiedział: niemożliwe, że w tak katolickiej Polsce to się działo. A my wiemy, co za tym jeszcze się kryje, co poprzedza rzeź niewinątek. Dotykaliśmy tej drażliwej sprawy.

A ten, straszliwie kompromitujący nas, gnojący alkoholizm. Jak przyjeżdżają zagraniczni goście do Częstochowy i tam właśnie, przed sanktuarium w południe, na oczach miliona ludzi, widać zapitych, młodych ludzi, leżących w rynsztoku, na których zdrowi ludzie muszą pracować.

Zdawałoby się – nikotynizm, to drobiazg, dzisiaj jest to fakt bezsporny, że nikotyna przyjmowana przez kobiety odbija się fatalnie na dzieciach.

Jest przerażające, że na 100 poczętych dzieci tylko 35 rodzi się, a z tych 35 tylko 6-7 to są dzieci zdrowe. Te niezdrowe dzieci, już skrzywione genetycznie, to między innymi nikotynizm. A proszę zobaczyć, ile głupich dziewcząt zaciąga się papierosami i coraz bardziej rozpowszechnia się ta plaga. Ciekawe zjawisko, przyjmujemy z zachodu najgorsze śmieci...

Oto jak wewnątrz wyglądamy i to jest prawda. Najgorsza prawda. I wtedy szczególne zadanie, a zwłaszcza inteligencji, polskiej elity – „ramię do ramienia”. Trzeba jakoś to robić, nie tylko gorzkie żale śpiewać i narzekać albo też podkpiwać ze wszystkiego. Robaczywiejemy. Naród nasz robaczywieje. Wchodzi w to także słowo patriotyzm.

Nie mało patriotyzmu u nas na stadionach. Stadionowy patriotyzm. Ale tu, na tym terenie powinien rosnąć, powinien nabierać mocy. To prawdziwa miłość ten patriotyzm. Tu nasze wielkie zadanie, a gdzie nasza siła? Gdzie siły szukać? Wiecie i znacie te źródła także w sobie. Oczywiście są to Boże siły złożone w nas, zakodowane w nas, zaszczerpione w nas. Toteż laicy duszpasterze, laicy prorocy wzywali i wzywają ludzi, a zwłaszcza młodzież, do przekroczenia granic ludzkich możliwości. Exupery we wszystkich swoich książkach woła i z przekonaniem twierdzi, że każdy człowiek zdolny jest przekroczyć

granicę swego cienia, granicę swoich możliwości. Coś z tego jest. Powinniśmy znaleźć siłę także we wspólnocie jedności złożonej z wielości. Ale prawdziwa wspólnota to wspólnota celów, patrzenie w jednym kierunku, to mobilizacja woli. Wspólnota to wierność i to jest wspólnota ideowa. Bo mogą być wspólnoty słabe, oparte tylko na emocji „szalenie mi się podoba u was, a więc przychodzimy”. To są bardzo słabe wspólnoty, oparte o tego czy tamtego człowieka, nawet jeśli chodzi o duszpasterza. Prawdziwa wspólnota, ta głęboka, która wspiera człowieka, daje siłę, to jedność celów, to wierność, to wola.

Ale ostatecznie nasza siła, głębinowa siła w Nim, Panu naszym Jezusie Chrystusie: Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia. Jeżeli pójdziemy za Nim, tam siła. Jeżeli wszczepimy się w Niego, pójdziemy z Nim i w Nim – jeszcze większa siła. On wymaga. Twarda Jego mowa, bo mowa prawdy, słuszności. Ta twarda mowa powinna odpowiadać młodzieży, bo prawdziwa młodzież nie lubi pustosłowa i formalizmu. I Jezus tego nie lubił i osądził formalizm i pustosłowie.

Młodość prawdziwa, wspólnota prawdziwa, młodzież niespleśniała, niezbutwiała, nie lubi kłamać, nie znosi obłudy. I Jezus sądził obłudę i kłamstwo. Młodzież, ta młodzież zdrowa, do której wy należycie, nie lubi despotyzmu, nie lubi zamordyzmu. Nie lubił i Jezus, władzę sprowadzał do służby. Jezus władzę sprowadzał do służby, a więc odrzucał



zamordyzm i wszelki despotyzm. Wy nie lubicie zastoju, marazmu, tej przeciętności, o której przed chwilą mówiliśmy, chociaż mamy do niej dyspozycje i inklinacje. I Jezus nie lubił zastoju. Mówił: Królestwo Niebieskie gwałt cierpi, gwałtownicy porywają je, pójdźcie za mną. Właśnie charakterystyczne – nie idźcie za moją nauką, tylko pójdźcie za Mną, za Osobą. To znaczy zaufanie. Nie wszystko zrozumiecie. Apostołowie bardzo niewiele rozumieli z tego, co Jezus na początku mówił. Nie wszystko wam będzie odpowiadało, ale jeśli pójdziecie za Mną, coraz jaśniejsze będą się stawały te prawdy, które głosiłem, te zasady.

Wielu wśród was mówi: no dobrze, to nie uzasadnimy niektórych tez Ewangelii, przedstawionych przez duszpasterza – rekolekjonistę. Nigdy Ewangelii nie uzasadnimy nawet na płaszczyźnie etycznej, bo mamy krótki wzrok i nie mamy odpowiednich instrumentów. My nie jesteśmy w stanie prześledzić dziejów dobra ani dziejów grzechu w jego meandrach. On, nawet w następnych pokoleniach, może wyciskać łzy, może rozkładać człowieka, nawet ciało jego, nie mówiąc o duchu. A przecież za horyzontem my nie jesteśmy w stanie nic widzieć. Jesteśmy w stanie widzieć tylko teren, obszar w obrębie horyzontu. Nie wymagajcie, aby wszystko było proste, jasne, do dna wyjaśnione. Zaufajcie, zaufajmy – ja też. Zaufajmy!!!

Panie, gdyby kto inny mówił, nie uwierzyłbym. Gdyby kto inny wzywał, nie poszedłbym, bo wydaje

się absurdem, ale dla Ciebie, Panie, za Tobą pójdę, gdyż Ty słowa żywota masz. Tak powinno się zawie-  
rzać!

Słyszeliście o Tomaszu Morusie, kanclerzu Henryka VIII w XVI wieku. Nie podpisał, mimo że król żywił do niego ogromne zaufanie, że go wysoko szanował, że go prosił, że go błagał. Nie podpisał, wbrew swojemu sumieniu, tego dokumentu zerwania ze Stolicą Apostolską. Nie podpisał. Król wepchnął go do więzienia, do lochu i wciąż namawiał, i wciąż przysyłał przyjaciół i pseudoprzyjaciół, a nawet przychodziła żona i córki. Prosiły ojca: ojcze, nawet twoi przyjaciele podpisali, a ty? A wtedy mądry i święty (bo święty już jest) Tomasz Morus mówił tak: Kochane dzieci, nie wieszam duszy na plecach żadnego człowieka, choćby on był moim największym przyjacielem, bo nie wiem dokąd on może moją duszę zanieść. Wiedziecie, powiesiłem moją duszę na plecach Jednego i wiem, dokąd On moją duszę zanieśie i radziłbym Wam, najdroższe, żebyście Wy również w pełni Jemu zaufały.

Tak, warto byłoby te dewizę zapamiętać. Nie wieszaj przyjacielu duszy na plecach żadnego człowieka, nawet na plecach przyjaciela i przyjaciółki, żadnego lekarza, nawet 10 lekarzy, nawet 100 znachorów moralnych. Nie wieszaj nawet na plecach żadnego księdza. Tak jest, bo nie wiadomo dokąd on twoją duszę zanieśie, nie wieszaj bez reszty. Możesz korzystać z jego pomocy, ale uważaj, bez reszty nie wieszaj!

Zawieś bez reszty, bez żadnych zastrzeżeń, duszę swoją i swoją egzystencję, i swój los na plecach Jezusa!

Boże, jak jeszcze chciałbym dużo wam powiedzieć. Ale wybaczenie, że jeszcze wam coś przeczytam. Niech przemówi tutaj w jednym zdaniu Dymitr Mereżkowski, rosyjski prawosławny, nawrócony na chrześcijaństwo. Poprzednio ateista. Dymitr Mereżkowski w książce „Jezus nieznan” o Ewangelii pisał: Dziwna księga. Nie można jej przeczytać, bo ilekroć by ją czytać, wciąż wydaje się, że czegoś nie doczytam, coś z niej zapominam, a kiedy czytam ją na nowo, znów wraca to samo. I tak bez końca. Jak niebo nocą – im dłużej patrzeć, tym więcej gwiazd. Toteż czytam ją codziennie i czytać będę, póki oczy widzą, przy wszelkim od serca czy od słońca biegnącym świetle. W najjaśniejsze dni i najciemniejsze noce. Szczęśliwy czy nieszczęśliwy, chory czy zdrowy, czujący czy nieczuły. I wydaje mi się, że czytam coś nowego, nieznanego, że nigdy nie przeczytam, nie poznam głębi. Tak ty, Dymitrze prawosławny, uczysz nas jak czytać i kiedy czytać słowa Jezusa – Ewangelię.

W tym miejscu przypomina mi się Roger Garudi, były pierwszy sekretarz partii komunistycznej Francji. Sam na własne uszy miałem możliwość słyszeć, gdy mówił na jednym ze spotkań duszpasterzy akademickich pod Wiedniem, że jedyną książką, jaką mógł czytać w obozie koncentracyjnym, to była Ewangelia. Wtedy my, duszpasterze, powiedzieli-

śmy: oho, ten człowiek idzie za Jezusem tuż, tuż. I rzeczywiście do tego się zbliżamy. Tak, taka to książka. A my? I tam moc, kochani. No i modlitwa, zawsze modlitwa na odległość ręki. Wyciągnięta dłoń. Modlitwa, tylko nie paciorek! Modlitwa. Otwarcie się od wewnątrz. Ty masz klamkę duszy swojej od wewnątrz. Jeżeli otworzysz Jezusowi, On wejdzie. On powiedział, że: wejdzie z Duchem Świętym i z Ojcem wejdzie i mieszkanie uczynimy, ale wtedy, gdy się otworzysz, bo wtedy spontanicznie zaczniesz z naszego serca wypływać wielotematyczny i wielomelodyczny hymn na cześć Stwórcy, na cześć Tego Pana, o którym mówiliśmy na pierwszym spotkaniu, spowitego we wszystkie moce, we wszystkie wszechpotęgi świata i kosmosu. Wtedy popłynie hymn pochwalny, hymn uwielbienia, hymn miłości, a także może się znaleźć i prośba i akt skruchy...

Pytacie, co by ksiądz poradził jako postanowienie z tych rekolekcji, co czynić?

Jeżeli ci, którzy nie modlili się systematycznie, poświęcą, z zegarkiem w rękę, dwie minuty czasu rano na prawdziwą modlitwę, z otwarciem się wewnętrznym... Boże, strumienie światła i mocy spłyną na waszą duszę i na wasz cały dzień. Wtedy, prawdopodobnie co pewien czas, będziecie wracali do tego przeżycia, do tego spotkania i będziecie przynajmniej mówili Jezusowi: dzień dobry, czy: do widzenia. Będziecie o coś prosili, za coś dziękowali, za coś uwielbiali. Czasami patrzyli będziecie bez słowa na Niego oczyma duszy. Powiadacie, przecież

to jest takie proste. Tak. I dlatego takie ważne, ale nie bardzo łatwe.

Trzeba się przedrzeć przez zawiesiny sennaści, bo gdy się zbudzicie rano, jesteście jeszcze senni. Trzeba się przedrzeć przez zawiesinę zmęczenia, przez strefę pośpiechu, zatrzymać się. Na chwilę się zatrzymać. O wszystkim zapomnieć. Możesz stojąc, lepiej klęcząc, ale możesz stojąc – dwie minuty. A może wtedy zechcesz powiedzieć dwa lub trzy zdania z tej modlitwy, której nauczył Jezus: Ojczy nasz, który jesteś w niebie, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi. Wiem, Panie, mam być służebnicą Twoją. Jak Ona, Tamta Najświętsza: Oto ja, służebnica Pańska na początku czegoś. Oto ja, sługa, Panie, oto idę do Twojej winnicy. Pobłogosław. Możesz dalej nie mówić. Urwij tutaj to „Ojczy nasz”, bo dwie minuty już upłynęły.

Drogi, spróbuj!

Dziewczęta tyle czasu poświęcałyście i poświęćcie na toaletę, na kosmetykę. No, dobrze, powinnyście być czyste i piękne, ale proszę zauważyć proporcje: paznokcie i te dwie minuty...

Droddy, spowiedź to zastrzyk mocy.

Nie zapomnę tego studenta, który właśnie spowiadał się w tamtym konfesjonale kilka lat temu (bliżej nie wspomina, żeby nie identyfikować. Dzisiaj jego tutaj na pewno nie ma). Pamiętam, mówił, że miesiąc temu był u spowiedzi. Nie stwierdzam żadnego grzechu śmiertelnego. I tak niestety nie-

zrećźnie zapytałem: Przyjacielu, co jest powodem, że przystępujesz do sakramentu pokuty? Egzamin, kolokwium? Zachnął się: nie, proszę księdza, poczułem, że wiotczeję, słabnę. Przyszedłem po zastrzyk mocy. Przepraszam cię bardzo, gratulacje ci składam.

Tak jest, tam można otrzymać zastrzyk mocy, ale tylko wtedy, kiedy nie pomniejszamy tego sakramentu pokuty, jak rozważaliśmy wczoraj, jeżeli nie zredukujemy go do szafki konfesjonału, jeżeli nie zredukujemy do księdza. Tak jest, bo ksiądz nie jest tam najważniejszą osobą. A my skłonni jesteśmy, ja też, łączyć jednak z tą osobą księdza. Ale trzeba trochę o tym zapomnieć. Dobrze jest wybrać swojego spowiednika, to jest dobrze, ale nie musicie wybierać. I warto zapomnieć o tej szafce i o tym księdzu. I spowiadać się warto kilka razy dziennie. Stojąc, chodząc po chodniku, w sali ćwiczeń będziecie się spowiadali. Spójrzycie w oczy Jezusowi i powiecie: Przepraszam Cię, Jezu, przepraszam, znów wyleciało coś ze mnie. Ale, gdy już nastąpiła dezintegracja negatywna daleko posunięta, czy zagrożenie, wtedy korzystaj z tego sakramentu pokuty.

No i dochodzimy do ostatniego zdania. Drodzy – Msza św., Eucharystia. Boże, nie ma słów. Przypomina mi się śp. biskup polski Zygmunt Łoziński, który będzie kanonizowany. Nie zapomnę tego jego kazania w Wielki Czwartek. Odczytał właśnie tę perykopę Ewangelii, którą myśmy dzisiaj czytali, o ustanowieniu Najświętszego Sakramentu. Odwró-

cił się do wiernych i powiedział: Drodzy, bardzo drodzy, czy uświadamiacie sobie co Jezus dla nas uczynił, stając się chlebem?

A więc są tutaj znaki specjalne, a więc chociaż ta recytacja, chociaż to jedno Amen, ten śpiew, choćby ta bliskość siadania obok siebie. Tworzy się tu jedność w wielości, ta wspólnota zwłaszcza, gdy pełnym głosem recytujemy, śpiewamy, chociażby mówimy to, dla wszystkich znane, Alleluja, czy Amen.

A my wciąż jesteśmy skłonni kibicować. W ogóle przez świat idzie postawa kibicowania. Wszędzie, nie angażować się, tylko patrzeć z boku, pokrytykować. Ostatecznie możemy pokibicować na stadionie, ale tu nie... Wszyscy tu jesteśmy aktorami, winniśmy się zaangażować maksymalnie i przyjmować Jezusa do serca, nie do ust. On nie jest pokarmem żołądka. Otworzyć Mu całą wolę, do dna otworzyć. Skłonni jesteśmy zastąpić istotę rzeczy piosenką, jakąś modlitwą, jakąś świeczką, jakimś westchnieniem, jakimś wzruszeniem, jakąś procesją. A wola własna, a moja wola własna?

Oto, przyjaciele drodzy, ta tajemnica, dlatego niektórzy przystępują do komunii, uczestniczą we Mszy św., a są gorsi czasami niż ci, co tego nie czynią. Wśród ankiet, które napłynęły w małej mierze, czytam taką wadę dziewczyny, waszej koleżanki. Mieszkają cztery w pokoju. Trzy chodzą do kościoła, a jedna nie chodzi i właśnie uważa się za niewierzącą, bo jeśli ma być taką jak te dziewczyny, to ona

nie chce mieć do czynienia z takimi ludźmi. Pisze: nieuczynne, nieżyczliwe, złośliwe, plotkary, nawet któraś igły nie chciała pożyczyć. Może i przesada, moi drodzy, ale może być tam i zgorszenie. Dlaczego jesteśmy tacy? No właśnie, bo piosenka, bo modlitewka, bo procesja, bo świeczka, bo inne symbole, a wola własna?

I dlatego teraz, właśnie teraz, postarajmy się otworzyć, drodzy, szeroko naszą wolę także na przyjęcie naszego Pana i powiedzieć Mu: oto wszystko Ci oddaję, cały mój dom, wszystkie zakamarki.

Twoja wola, Panie, niech się dzieje i dziś, i jutro, i dalej...

I będę się starał, żebym był wierny...



## NOTA O AUTORZE

Autor cyklu „*Trzymać dłoń Chrystusa*”, Ksiądz prałat Aleksander Zienkiewicz (1910-1995), był jednym z najwybitniejszych wychowawców kilku pokoleń dolnośląskiej inteligencji. Urodził się 12 sierpnia 1910 r. we wsi Lembówka na Ziemi Nowogródzkiej. Szkołę powszechną ukończył w Duniłowiczach, zaś maturę zdał eksternistycznie w Gimnazjum Biskupim w Pińsku. W roku 1931 wstąpił do Wyższego Seminarium Duchownego w tym samym mieście. Święcenia kapłańskie przyjął 3 kwietnia 1938 r. z rąk ks. bpa K. Bukraby, zaś Mszę prymicyjną odprawił w Rzymie, przy grobie św. Andrzeja Boboli, w dniu jego kanonizacji (17 kwietnia 1938 r.).

Początkowo pełnił obowiązki kapelana ordynariusza diecezji pińskiej, asystenta KSM, następnie prefekta gimnazjalnego, rektora kościoła farnego w Nowogródku, kapelana nazaretanek i dziekana nowogródzkiego.

jego likwidacji kierownikiem Ośrodka Duszpasterstwo – Katechetycznego oraz Diecezjalnym Duszpasterzem Akademickim i tę funkcję, z ogromnym zaangażowaniem i poświęceniem, jako słynny Wujek, pełnił do końca swojego życia.

Również w roku 1958 został powołany w skład Komisji do spraw Filmu, Radia, Telewizji i Teatru.

Przez wiele lat prowadził w Seminarium Duchownym zajęcia z katechetyki i języka polskiego. Był równocześnie cenzorem wydawnictw kościelnych i egzaminatorem prosynodalnym.

W roku 1959 Ojciec św. Jan XXIII powołał Ks. Zienkiewicza „ad Cubicularius honoris” (Szambelan Honorowy Ojca Świętego).

Dekretem z dnia 27 maja 1972 r. Ks. Zienkiewicz został wprowadzony do kapituły wrocławskiej jako kanonik, zaś 26 września 1981 r., dekretem Ojca św. Jana Pawła II, został włączony w poczet Papieskich Prałatów Honorowych.

Ks. A. Zienkiewicz jest autorem szeroko pomyślanego programu ośrodka duszpasterstwa akademickiego jako uczelni kultury religijnej dla studentów i tzw. seniorów – absolwentów wyższych uczelni. W tak pojętym duszpasterstwie, w formie konwersatoriów zyskiwano szeroką wiedzę m.in. z dogmatyki, filozofii chrześcijańskiej, etyki, biblistyki. Można było poszerzać swoje wiadomości zdobywane na uczelniach z psychologii, pedagogiki (ceniona przez Wujka charakterologia), a także z zagadnień teologii życia wewnętrznego i praktykowania ich. W ramach

Wojna zastała Ks. Zienkiewicza w Nowogródku, skąd musiał uciekać i ukrywać się po męczeńskiej śmierci jedenastu sióstr nazaretanek (1 sierpnia 1943 r.), którą złożyły jako ofiarę między innymi i za Jego życie.

Po wojnie, w roku 1946, pod naciskiem organów bezpieczeństwa ZSRR, ostatnim transportem przybył do Polski. Na Dolnym Śląsku w ciągu roku 1946/47 był prefektem szkół w Sycowie. W roku 1947 został przeniesiony do Wrocławia na stanowisko prefekta szkół średnich (Liceum Pedagogiczne, I Liceum Ogólnokształcące, później także III LO) i kapelana sióstr nazaretanek. Równocześnie podjął studia pedagogiczne na Uniwersytecie Wrocławskim.

W roku 1952 został wicerektorem Seminarium Duchownego we Wrocławiu, by po rocznej przerwie, spowodowanej przeniesieniem na stanowisko rektora Niższego Seminarium Duchownego w Żaganiu, wrócić znów do Wrocławia, by objąć funkcję najpierw wicerektora, a od 1954 r., rektora Wyższego Seminarium Duchownego.

Mimo wielu trudności od roku 1953 organizował spotkania dla młodzieży akademickiej w małym kościółku św. Idziego („Idziaki”). Kontynuacją tych spotkań był ośrodek akademicki „Pod Czwórką”, który Ks. Zienkiewicz, decyzją kardynała B. Kominka z roku 1958, przejął po rezygnacji z funkcji rektora WSD. Mianowany został najpierw rektorem Katolickiego Instytutu Naukowego, a po

tego programu znajdowały się cykliczne rekolekcje, wyjazdy wakacyjne, a także niedzielne wieczory przy kominku. Wiele uwagi poświęcano wdrożeniu młodzieży do działalności charytatywnej, misyjnej („Oriens”), ekumenicznej i apostołskiej.

W czasach trudnych dla Kościoła głośno i zdecydowanie przeciwstawiał się ateizmowi, otwarcie nazywał zło złem, a dobro dobrem, kształtując wówczas w młodzieży ducha prawdy i patriotyzmu, czego nie dała jej ani szkoła, ani uczelnia, ani niekiedy dom rodzinny. Cała praca była zorientowana na model chrześcijanina o głębokim życiu wewnętrznym (konwersatoria życia wewnętrznego), otwartego, zaangażowanego apostoła Kościoła i obywatela Ojczyzny i świata.

Dużo swojego serca wkładał w przygotowanie młodej inteligencji do życia w rodzinie. Przez wiele lat odbywały się cyklicznie kursy „Miłość – Małżeństwo – Rodzina”, których treść została sformułowana później w artykułach drukowanych na łamach „Niedzieli”. Artykuły te zostały następnie wydane w książce zatytułowanej „Miłości trzeba się uczyć” (cztery wydania). Znamienne jest, co Autor napisał we Wstępie do niej:

*„Prawie całe życie kapłańskie pracowałem z młodzieżą i służyłem młodzieży – przed wojną w szkole, w harcerstwie, w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży, a po przyjeździe z Nowogródka do Wrocławia – znów w szkole, w Seminarium Duchownym i najbardziej w DA... I właśnie na tym obszarze życia*

*i pracy zdobyłem doświadczenie duszpasterskie. Tutaj, w zwariowanym nurcie życia, sprawdzałem zasady Ewangelii, tutaj nauczyłem się psychologii i pedagogiki bardziej aniżeli w podręcznikach i doktorskich rozprawach. Tutaj poznałem poglądy, trudności, potrzeby i zagrożenia polskiej młodzieży”.*

Służył nieustannie studentom swoją wiedzą i czasem, a także często pomocą materialną, sam żyjąc niezwykle skromnie. Swoją troską otaczał również tych absolwentów, którzy wstąpili w związki małżeńskie, organizując dla nich spotkania niedzielne, zwane popularnie „Rodzinami Rodzin”.

Ksiądz prałat Aleksander Zienkiewicz był inicjatorem Tygodni Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu, które odbywały się początkowo w katedrze i kościele św. Elżbiety, a później w wielu innych kościołach, wpisując się na stałe w kanon życia religijnego i kulturalnego miasta, a nawet kraju.

Zmarł 21 listopada 1995 r.

Dał tysiącom swoich wychowanków i setkom kapłanów przykład całym swoim życiem, że hasła, które głosił „*Aby mniej mieć, a więcej być...*”, czy też „*Mniej dyskutować o Chrystusie, więcej żyć Chrystusem...*” nie były pustymi hasłami.



### Wykaz skrótów:

DA - Duszpasterstwo Akademickie

KSM - Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży

WSD - Wyższe Seminarium Duchowne